

Ciemność i burza, wichry i gro-
[my,
Ziemia zadrżała, Niebo się sroży.
I któż nie czuje, że snać widomy
Na grzechy ludzkie spada sąd Boży?

I biada, biada ludziom, jeżeli
Z serc swych upartéj nie złożą buty,
Jeśli w łzach, które leją i leli,
Bóg nie dopatrzy łez ich pokuty!

Ale gdzież Skrusze wyznać swe grzechy,
Gdzie Prawdzie śmielszém ozwać się słowem,
Gdzie sercom wzajem szukać pociechy,
Jeśli nie w bratniém Kółku Domowém?

Bo jak z ziarn tylko, drobnych lecz zdrowych,
Rośnie chleb świata, plon ludzkich trudów,
Tak tylko z ognisk i z cnót domowych,
Wzrość może szczęście krajów i ludów.

Tam więc niech kapłan, z męztwem proroka
Wiarę serc wiernych krzepi i czyści,
Że nieprzeparta prawdy epoka
Jest wzdy w miłości, nie w nienawiści.

Że pyszny rozum drogi swe krzywi,
Że płocha krewkość goni w bezdroże;
Że co się prawom Bożym przeciwi,
Z dobrem się ludzkiém zgodzić nie może.

Tam niech się starzec ocknie z uśpienia,
Niech się upomni o cześć siwizny,
A światłem prawdy i doświadczenia
Usprawiedliwi prawo starzyzny.

Tam niech się młodzian uczy i słucha,
Wprzód nim sam zacznie radzić lub rządzić;
Niech błaga darów świętego Ducha,
By się złym nie dać zwieść i nie zbłądzić.

Tam niech niewiasta, przez łzy boleści
Spojrzawszy jaśniéj na świat i życie,
Z cnót szuka tylko chwały niewieściéj,
Anioła światu wróci w kobiecie.

Wtedy po takich przodkach w spuściznie,
Gdy na potomków serce i głowę
Błogosławieństwo spłynie w iściznie,
Wdzięczność uświęci Kółko Domowe.

***

ŁOWIEC NA POSAGI.

(Z księgi wspomnień K. Wł. Wojcickiego.)

(Dokończenie.)

Równocześnie pan Adolf wyjednał, że ślub odbędzie się po Trzech Królach; kilka tygodni już tylko dzieliło go od chwili tak upragnionego szczęścia. Kończył przygotowania swéj wyprawy, a tymczasem spraszał grono najbliższych przyjaciół i krewnych do Lipówki, gdzie się bawił wesoło i ochoczo częstując hojnie, przy zielonych stolikach. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, dzień ślubu coraz był bliższy.

Na parę dni przed *Wigilją*, którą miał przepędzić w Krowodrzy u przyszłego teścia, liczniejsze niż zwykle zebrało się grono przyjaciół pana Adolfa. Grano zacięcie w *sztosa i djabełka*, butelki szampana strzelały raz po-

raz. Gospodarz był hojniejszy, zachęcał do gry i kielichów. Liczne wiwaty, zdrowie pana Adolfa, ślicznéj Karolki i przyszłéj pomyślności, wznoszono z okrzykami, gdy nad wieczorem zadzwoniły sanki przed dworem Lipówki.

— Kto tam przyjechał? pyta gospodarz lokaja.

— To pan Nekanda z Zacisza i prosi pana bo ma pilny interes, odrzekł służący.

— Proś do salonu! zawołał pan Adolf, ale jakoś się zmieszał i dziwny go opanował niepokój.

Kiedy wbiegł do sali, ujrzał stojącego Nekandę, który wyraziste swoje spojrzenie, pełne powagi a surowe, utopił w jego obliczu. Pan Adolf nie mógł znieść go, spuścił oczy, a kłaniając się, przemówił uprzejmym głosem:

— Niech sąsiad łaskawy raczy usiąść i przyjąć moje pozdrowienie. Cóż pana sprowadza w moje ubogie progi?

— Panie Kawęcki, odrzekł surowo Jan, wiesz jak nikczemnie i podle postąpiłeś sobie z córką pułkownika!

— Panie! co znaczą te słowa zniewagi i jeszcze w moim domu?

— Niema w nich żadnéj zniewagi, mówił spokojnie Nekanda, postępowanie pana je wywołało. Ale nie traćmy czasu daremnie. W imieniu Władysława Ligenzy żądam *satysfakcji*, wybieraj pan broń, czas i miejsce. Jestem z jego strony sekundantem.

— Cóż to? ja mam się bić z tym dzieciuszkiem, panienką w sukniach męzkich, odrzekł pan Adolf szydersko.

— Nie przybyłem rozprawiać z panem, ale proszę o odpowiedź stanowczą. To tylko panu zapowiadam, że jeżeli ta *panienka padnie*, ja i sześciu moich towarzyszy broni, stawać będzie z panem do rozprawy. Że zdrowo nie wyjdziesz z téj igraszki, za to ci mój panie honorem ręczę.

Kawęcki zbladł, ale oprzytomniawszy zdobył się na odpowiedź.

— Im prędzéj tém lepiéj, broń pistolety, czas wigilja Nowego-Roku, a miejsce do wyboru zostawiam panom.

— Dziękuję panu za tak prędkie postanowienie; wybieram więc miejsce w moim dębowym lesie Zacisza, o godzinie dziesiątej rano będziemy go oczekiwali z sekundantami.

— Stawię się niezawodnie!

Nekanda skłonił głowę, wdział niedźwiedzie, dosiadł sanek i ruszył po dobréj sannie galopem. Pan Adolf wrócił do swoich gości.

— A cóż chciał od ciebie ten odludek? zapytał jeden.

— Ten niedźwiedź z zagrody swojéj, dodał drugi.

— Przybył, odrzekł spokojnie gospodarz, za kupnem nasienia jarego na siew wiosenny, a ma gotowiznę, bo mu mój teść przyszły za pszenicę tysiąc dukatów niedawno zaliczył.

— Gospodarz to dobry, mówił młody Bieniecki, sąsiad blizki Zacisza, on ze swego wójtostwa, więcéj zbiera, niż drugi z 50 włók ziemi. Co tam za uprawa, jakie liczne inwentarze i gdy daléj rozwodził się nad doskonałością gospodarstwa Nekandy, Adolf wziął pod rękę pana rotmistrza od pruskich huzarów, co od trzech lat miał dymisję, wybornego gracza i wesołego do pohulanek towarzysza, Zdzisława Kweleckiego z księstwa poznańskiego i przeszedłszy do salonu, opowiedział mu prawdziwy powód odwiedzin Nekandy, ze szczegółami całéj rozmowy.

— Pochwalam z góry twoje postanowienie i z chęcią służę za sekundanta. Ale zachowajmy wszystko w głębokiéj tajemnicy; wypadek ten i tak będzie późniéj rozgłośny. Jutro jedziesz do narzeczonéj, bawże się wesoło, nie trać humoru. Wiem że strzelasz *arte*, ale abyś do celu trafił niechybnie, potrzeba spokoju duszy. Ja się wszystkiem zajmę, doktora na wszelki przypadek zamówię, zresztą sza! jakby nic nie było.

Adolf rzucił się rozczulony w objęcia rotmistrza, dziękując mu za takie dowody przyjaźni.

Nekanda spiesznie podjechał pod dwór w Zagaju, ale dla ukrycia swych odwiedzin zostawił sanki w alei bocznéj, a sam udał się do kwatery Jacentego, gdzie zastał Władysława wydmuchującego pistolety po dwóch celnych strzałach, nad którymi dziwiąc się, kręcił głową stary kapral.

— Jeżeli paniczowi nie zadrży ręka, to tego *łajdaka* sprzątniesz jak wróbla, ażeby nie kalał ziemi.

Na widok wchodzącego Nekandy, poskoczył ku niemu Władysław i uścisnął po przyjacielsku dłoń podaną.

— Wszystko poszło wedle naszego planu, teraz zajmiemy się przygotowaniem do téj smutnéj, chociaż koniecznéj sprawy.

Usiadłszy zmęczony nieco opowiedział szczegółowo rozmowę swoją z Kawęckim.

— Dzięki Bogu! mówił Władysław i tobie zacny przyjacielu! Czemże ci się potrafię odwdzięczyć?

W téj chwili roztwarły się drzwi i ukazała się na progu Klara; ujrzawszy Nekandę, stanęła cała w rumieńcach. Po chwili milczenia wyrzekła:

— Słyszałam wystrzały i ciekawa byłam jak też celnie mierzy mój kochany braciszek. Niespodziewałam się spotkać pana i bardzo się cieszę, żem zobaczyła tak szlachetnego przyjaciela naszego domu i nas sierot.

To mówiąc, wyciągnęła doń ręce, które Nekanda pochwycił, a okrywając pocałunkiem:

— O droga moja pani! zawołał dźwięcznym głosem, ostatnią kroplę krwi poświęciłbym za szczęście pani i jéj spokój.

Klara opuściła smutnie głowę na piersi i wyrzekła:

— Dziękuję, dziękuję serdecznie za te słowa, wierzę im, bo pan nigdy w życiu nie skłamałeś!

I wyrzekłszy to ukłoniła się i wyszła.

Nadszedł dzień oznaczony do krwawego spotkania. Pani majorowa wiedzac o wszystkiem, pod pozorem powinszowania Nowego-Roku zięciowi i wnukom, raniutko zjechała do *Zagaja*. Władysław pożegnał się z ojcem zaraz po jéj przybyciu, oświadczając mu, że zaproszony przez Nekandę na polowanie, wcześnie przed wieczorem wróci. Na samym wsiadaniu do sanek, wbiegł do babki. W dużym fotelu siedziała sędziwa matrona, a u nóg jéj klęczała Klara: obie były zapłakane. Na widok młodzieńca, otarły oczy, a gdy wnuk przykląkł i ucałował ręce babki drżące od wzruszenia.

— Niech cię Bóg i Matka Boska ma w swojéj opiece, ja ci daję moje błogosławieństwo, a razem z Klarcią będziemy się modliły za ciebie.

W téj chwili wszedł stary kapral, dając znać że czas w drogę.

— Jacusiu, mówiła kwiląc się od płaczu, czuwaj nad moim wnuczkiem.

Klara uściskała brata; stary kapral słowa nie odrzekł, obaj w milczeniu wsiedli na sanki.

— Moje dziecię! idź teraz do ojca, baw go rozmową, ja tam zaraz przyjdę. Niech się dopiéro dowie o wszystkiem, gdy Bóg tę smutną sprawę rozstrzygnie.

W pół godziny po przybyciu do Zacisza Władysława z Jacentym, nadjechał Kawęcki z rotmistrzem i razem ruszono do lasu. Towarzyszyli téj rozprawie doktór z chirurgiem i stary kapral.

Nekanda z rotmistrzem umówili się jako sekundanci, że po wymierzeniu mety, na *komendę* razem strzelać będą.

Godzina naznaczona uderzyła. Obaj przeciwnicy stanęli na miejscu i na dane hasło huknęły wystrzały. Z jękiem upadł Kawęcki, młody Ligenza się zachwiał, ale Nekanda podtrzymał go silnym ramieniem.

— Czyś ranny Władziu? zapytał go z cicha.

— Nie! odrzekł młodzieniec, ale widok krwi rozlanéj zamroczył mi oczy. Czym go zabił?

Rotmistrz, doktór z chirurgiem trzeźwili i opatrywali Kawęckiego. Kula poniżéj kolan przeszyła obie nogi, krew strumieniem buchała.

Stary kapral kilką słowami przywrócił przytomność paniczowi, gdy Nekanda, kazał sankom swoim podjechać, ażeby rannego co rychléj odwieść do Zacisza. W téj chwili z poblizkiéj zarośli zatętniały kopyta końskie i Nekanda ujrzał przemykającą konno Klarę, która ścieżką leśną pędziła galopem do Zagaja.

W oddzielnym pokoiku dworku Zacisza złożono rannego. Posłańcy rozbiegli się w różne strony, to po lekarstwa, to z wiadomością do majorowéj i Lipówki. Doktór oświadczył, że rany długiego leczenia potrzebować będą i wątpi czy na całe życie kuleć nie będzie.

Babka z ojcem siedzieli razem, oboje smutni i milczący. Pułkownik skarżył się na dziwny niepokój, co go od samego rana trapi, gdy weszła Klara z bladém obliczem i mocno wzruszona. Majorowa zerwała się z krzesła, a patrząc uważnie na wnukę, zapytała drżącym głosem:

— No! i cóż nowego?

— Władzio zaraz powróci z Jacentym, zdrów.... i jakby zmęczona upadła na kanapkę stojącą przy kominie.

Gdy pułkownik zdziwione oczy zwracał na majorowę i Klarę, piérwsza wyrzekła:

— Nie masz już tajemnicy przed ojcem, powiedz Klarciu jak się skończył pojedynek.

— Strzelali się na komendę i padł kulą przeszyty Kawęcki. Patrzałam na to spotkanie i ledwiem utrzymała się na siodle.

Wtedy majorowa opowiedziała całą sprawę zięciowi, który chodził szerokim krokiem po sypialni i od czasu do czasu przerywał.

— I ja byłem jak w rogu! Wszyscy mnie oszukiwali.... nawet stary kapral! Ale dam ja mu za to! Mnie to tę sprawę samemu należało prowadzić, a nie oddawać w cudze ręce....

— Mój Stasiu, odrzekła na te słowa babka, uczciwe ręce tę sprawę prowadziły, bo ręce Jana Nekandy.

— Ani słowa moja matko, jest to zacny i pełen honoru człowiek, którego teraz tem więcéj kocham, lubom go zawsze szanował. Ale ja, czyż nie jestem ojcem, coby na to mój anioł-opiekun, moja Zosia powiedziała? Czyżby mi nie zrobiła słusznego wyrzutu i pytania: a cóż ty za ojciec, jeżeli za honor swojéj córki ująć się nie umiesz?

— Panie Stanisławie! szanuj miłość dzieci i moją, żeśmy cię martwić nie chcieli. Ja w imieniu mojéj Zosi a twojéj małżonki, działałam, i Bóg pobłogosławił całéj sprawie. Stasiu! mówiła rzewnym głosem, czyż w tém nie widzisz opieki Bożéj i modlitwy gorącéj naszéj Zosi, że ubłagała życie twego jedynaka.

Na te słowa zmiękł gniew i uniesienie pułkownika, całując rękę majorowéj, przepraszał i tulił do łona rozpłakaną córkę.

W tę chwilę stanął we drzwiach, cicho na palcach idąc, stary kapral, którego ujrzawszy pułkownik zawołał:

— A chodź no łotrze do mnie. Wartoby cię do kozy na tydzień o chlebie i wodzie wpakować i byłoby to, gdyby nie pani majorowa co cię ochroniła. No! gadaj stary a prawdę jak to było?

Jacenty opowiedział szczegóły wszystkie.

— A gdzież mój Władyś?

— Panicz został przy rannym, bo o to błagał go sam gdy przyszedł do przytomności. Ale zapewnie nie długo zawita stary nasz kapitan, ściska a całuje naszego panicza i płacze mówiąc:

— Znać że to krew dzielnego mego pułkownika! On się ucieszy żeś odważny i celnie strzelasz i będzie płakał jak ja z radości.

Pułkownik odwrócił głowę, aby łzy ukryć, poczem zwróciwszy się nagle, pochwycił stare-

go kaprala, a całując go w głowę, zawołał niby groźnie:

— Idź precz mi! ale mnie kochaj zawsze!

Jacenty z prawą ręką u skroni, salutując *wymaszerował* podwójnym krokiem, do swojéj kwatery.

Władysław nadjechał dopiéro wieczorem z Zacisza. Ojciec uścisnął go serdecznie równie jak siostra, babka pieściła i błogosławiła. Dzień to był rzewnéj radości dla całéj rodziny.

Po dwóch dniach spoczynku, przewieziono krytemi saniami rannego Kawęckiego do Lipówki. Dwór w Zaciszy po krótkim gwarze, wrócił do dawnéj azwykłéj spokojności. Dzień Nowego-Roku, odbył się uroczyściéj niż zwykle; zjechało bowiem liczne grono przyjaciół pułkownika i majorowéj składając szczere życzenia. Złożył je również listownie Nekanda w imieniu ojca i swoim, ale tego dnia nie pokazał się w Zagaju, mając wymówkę że przy rannym czuwać musi.

Przy obiedzie, powstał pułkownik, wzniósł kielich i wyrzekł spokojnym i poważnym głosem:

— Pozwolicie szanowni moi goście, że wniosę zdrowie jednego z tych ludzi, którzy na cześć naszą i szacunek zasługują. Żałuję że nie jest obecny, nie usłyszy gorących słów podziękowania. Oby Bóg czuwał nad jego szczęściem, tego mu z serca życzę. Piję zdrowie szlachetnego mego przyjaciela i sąsiada Jana Nekandy!


Klara.

Wszyscy ochoczo zdrowie to powtórzyli.

W dzień *Trzech Króli* po nabożeństwie, pułkownik po krótkiéj z majorową naradzie, rozkazał dwoje sanek zaprządz, oświadczając że wyjadą na szlichtadę. Ale *stary kapral*, od Klary dowiedziawszy się o celu przejażdżki, boczną drużyną konno pośpieszył do Zacisza, uprzedzając *pana kapitana*, że go kulig najedzie!

Pan Jan na tę wiadomość stanął pomieszany, nie wiedząc co począć; ojciec widząc jego zakłopotanie, rzekł śmiejąc się wesoło:

— No Jasiu! nie trać głowy! czem chata bogata tém rada! Daléj do roboty. Jacuś! daj mi moją bekieszkę od święta ze wstążeczką Legji Honorowéj i waszeć się przystrój, bo niema czasu!

Pan Jan orzeźwiał na te słowa, gdy Jacenty wbiegł wołając:

— Już jadą, już jadą!

Kapitan z synem czekali w ganku na dostojnych gości.

W piérwszych saniach siedziała majorowa z wnuką, w drugich pułkownik z synem.

Kapitan podał rękę sędziwéj matronie i wprowadził do małéj sali z głębokim pokłonem. Pan Jan po powitaniu pięknéj wnuczki, dziękował pułkownikowi za ten zaszczyt niespodziewany, że raczyli odwiedzić skromny dworek Zacisza.

Klara uderzona była porządkiem i miłym przystrojem tego dworku. Sionka wysypana gałązkami zielonemi z sosen i jodeł. Salonik pełen był pięknych kwiatów, które wonią go napełniały. W małym pokoiku, gdzie pracował zwykle pan Jan, nie brakło kwiatów i przy oknie wisiała klatka z kanarkami. W izbie *gościnnéj* obszerniejszéj nad inne, na kapiastym kominie suty palił się ogień; tu pułkownik zasiadł rad i wesół ze starym kapitanem. Klara stojąc przy klatce kanarków bawiła się z niemi; na jéj głos słodki, zbliżały się, otwierały dziobki i trzepotały skrzydełkami.

— O! widać że wasz dobry pan, tak was, lubki moje, rozpieścił, mówiła jakby do siebie. Ale stojący przy niéj Nekanda, odrzekł rzewnym i smutnym głosem:

— Pan ich samotnik, kocha je i pieści, bo to jedyne stworzenia które go kochają!

— O! nie grzesz panie Janie, przemówiła Klara, a ojciec pana a mój, a babcia, a Władzio, a stary kapral i ja, dodała ciszéj, czyż nie kochamy pana i nie szanujemy?

Nekanda na te słowa podniósł głowę, oblicze jego rozpromieniało nieznanym wyrazem radości, oczy zajaśniały ogniem lat młodych, cała postać w nim zmieniona; patrzyła Klara nań z podziwem i pomyślała sobie, jak niedawno jéj babka: to prawdziwie piękny mężczyzna, urodniejszy od Adolfa. Podała mu rękę którą on w milczeniu przycisnął do serca.

Kapitan odżył, odmłodniał jak mówił. Szczera radość wybijała na czerstwém obliczu starca.

— Mój Boże! mój Boże! szkoda że nie żyje moja Anulka, jakby się radowała widząc takich gości.

— Mój panie Franciszku, odrzekł smutno pułkownik, obaj jesteśmy wdowcy i straciliśmy nasze pociechy duszne, ale odżyjemy w naszych dzieciach.

— Ja to bardzo wątpię, mówił stary kapitan, mój Jaś przeszedł dawno już Jezusowe latka, czwarty zaczął krzyżyk, a bohdanki swojéj nię znalazł i ciągle mi mówi, że się nie ożeni. Żyjemy jak dwa borsuki w norze, choć jest, mój pułkowniku, dostatek wszystkiego i grosz nie mały w skrzyni, coby wystarczył i na żonę i na dzieci! Bo mój Jaś to tęgi gospodarz, szczerze mówię pułkownikowi, on potroił, ba! i więcéj dochód jaki miałem z Zacisza sam prowadząc ten folwark.

— Nie martw się mój panie Franciszku, ja myślę że będziesz kołysał swoje wnuki i śpiewał nad ich kolebką nasze żołnierskie piosnki.

Stary kapitan zaczął się śmiać wesoło, gdy Jacenty, który w tym dniu przybrał w Zaciszu godność marszałka dworu, zaprosił do stołu.

— Wszędzie te stare kapralisko włóczy się ciągle, mówił pułkownik klepiąc z uśmiechem po ramieniu Jacentego, gdzie go nie zasiejesz to wschodzi, a kręci się jakby jaki młokos!

Obiad był suty i smaczny, znalazł się i miód stary i węgrzyn stuletni. Pułkownik wzniósł toast dla kapitana i jego syna, którego uważa za szczerego przyjaciela, a przyjaźń taką ma dla siebie za najwyższy zaszczyt.

Kiedy kapitan dziękował serdecznie pułkownikowi, a pan Jan, zarumieniony wzruszeniem, powstał z pochyloną głową, pani majorowa wyrzekła:

— Taka cześć należy i ojcu i synowi. Ja kobiéta znam serca niewieście i przekonana jestem, że zacna niewiasta może kochać prawdziwie tylko szlachetnego mężczyznę. Dla nikczemnego i podłego ma tylko pogardę w sercu.

Na te słowa, pan Jan zwrócił się do wnuczki i zapytał z cicha:

— Czy pani dzieli przekonanie pani majorowéj?

— Tak! babka moja powiedziała świętą prawdę i to jest także mojém przekonaniem.

Wtedy ujął jéj rękę drżącą, a przyciskając do ust wyrzekł:

— To dzień najszczęśliwszy w mojém życiu!

Nad wieczorem pułkownik kazał zaprzęgać do sanek, ale kapitan oświadczył, że koła zdjąć każe i nie puści bez kolacji. Pani majorowa śmiała się serdecznie z tego zapomnienia starego gospodarza, zwracając jego uwagę że sanki kół nie mają, ale naglona prośbą jego z chęcią pozostała.



Nekanda.

Kapitan zajął się przyrządzeniem *pałaszowego ponczyku* z wina, araku i cukru, którym poczęstował ukochanych gości. O północy dopiéro opuszczono gościnne progi miłego dworku w Zaciszu.

Noc była jasna, księżyc w pełni wybił na bezchmurny błękit, lekki mróz poprawił sannę.

Pan Jan dosiadł karego arabczyka i odprowadził damy aż pod ganek dworu w Zagaju. Wysadził z sanek, pożegnał, a dosiadłszy wierzchowca, pomknął jak wiatr drogą ubitą.

— Jaki to piękny mężczyzna! i jaki jeździec, wyrzekła majorowa jakby do siebie. Klara z ganku długo ścigała oczyma po widnéj drodze, jak pędził na *karym*, uprzejmy gospodarz Zacisza.

Kawęcki leżąc we dworku Nekandy, prosił syna pułkownika aby mu przebaczył i przeprosił w jego imieniu siostrę za jego płochość. Wywieziony do Lipówki prędko wracał do zdrowia, ale przepowiednia doktora sprawdziła się. Wyleczony z rany prawéj nogi, w lewéj nigdy dawnéj władzy nie odzyskał i kulał przez całe życie. Wydobrzał jednak przy czułém staraniu matki, siostr i ciotki, tak rychło, że z końcem zapust wziął ślub z panną Königsman i odprawił huczne wesele. Ojciec panny młodéj w parę dni wyjechał do Berlina, oddając mu w zarząd całe dobra, jako posag jego ukochanéj Karolinki.

Z początkiem lata gwałtownie zasłabła majorowa, zanim dano znać o tem do Zagaja, wysłała sama posłańca do Zacisza, wzywając Nekandę. W godzinę, stał przy jéj łożu zmęczony i rozgrzany podróżą, pędził bowiem co sił starczyło arabczykowi.

Chora wdzięcznie się uśmiechnęła i uścisnęła rękę pana Jana serdecznie.

— Niewiem czy to nie ostatnia moja choroba, mówiła cichym i osłabłym głosem. Czuję coraz większy brak sił, a ciągła senność mnie napada. Co mi cięży na duszy, to chciałam ci powierzyć kochany panie Janie, ty jeden ulgę mi przynieść możesz!

— Mów droga pani! wszystko zrobię co tylko może spokój ci przywrócić i ulżyć strapieniu.

— Wiesz dobrze, żem ja to tego nikczemnika wprowadziła w rodzinę własną, moje pochwały, które oślepiona mu dawałam, zwróciły na niego uwagę méj wnuczki. Teraz kiedy może wkrótce stanę przed sądem Boga i połą-

czę się z moją Zosią, pragnę umierać zapewniając los przyszły i szczęście Klary. A rękojmię tego ty jeden, kochany panie Janie, dać mi możesz. Oddaję ci więc w opiekę moją Klarcię i błogosławię.

Nekanda upadł przy łożu na kolana i rozpalone czoło przyłożył do zimnéj jak lód ręki choréj, która czule nań patrząc omdlałemi oczyma, szeptała coraz cichszym głosem:

— Poślubisz moją Klarcię, ona będzie szczęśliwa z tobą i ciebie uszczęśliwi!

Nekanda czuł łzy radości w oczach, serce biło gwałtownie i tłumiło mu oddech. Słowa wyrzec nie mógł, a gdy powstał i spojrzał na oblicze choréj, krzyknął przerażony, bo zdawało mu się, że już umarła. Ale wkrótce oprzytomniawszy, poznał, że to był sen tylko, bo niedługo rumieniec słaby wybił na lica, a uśmiech okrasił sine dotąd usta.

Usiadł przy łożu i w tak głęboką zapadł zadumę, że nie słyszał lekkiego chodu Klary, jak weszła do sypialni babki, a stanąwszy na uboczu, wpatrywała się na przemiany w oblicze babki ożywiające się coraz i zamyśloną postać Nekandy.

Gdy Jan po chwili podniósł oczy i spostrzegł Klarę, uważał ją raczéj jako widmo swéj wyobraźni. Utopił wzrok w jéj uroczą postać i pierwszy raz spotkały się ich spojrzenia tak wymownie, że słowa byłyby ich niedokładném echem. Klara piérwsza spuściła ku ziemi czarne swe oczy pełne blasku i uroku, posunęła naprzód i podała mu rękę. Wtedy porwał się Nekanda, pochwycił ją, a przyciskając do serca chciał mówić, lecz mu słowa pod nawałem uczuć niknęły. Chora rozbudzona spojrzała, a ujrzawszy ich razem, z uśmiechem rzewnym a pełnym radości, przemówiła dźwięcznym głosem:

— Więc Bóg ziścił moje życzenia i widzenie senne! Niech was moje dzieci Bóg błogosławi w dalszém waszém życiu!

Klara jakby ocucona, poskoczyła do babki, a okrywając pocałunkami i pieszczotą:

— Babciu moja złota! żyj zdrowa dla naszego szczęścia! zawołała radośnie.

— Twoją przyszłą dolę, powierzyłam w ręce tego zacnego człowieka! Wszak moja Klarciu nie odrzucisz jego ręki....

— O nie. moja babciu! ale nie mówmy teraz o tém, późniéj, późniéj trochę.

Pułkownik z synem nadeszli właśnie, pani majorowa powitawszy ich uprzejmie,

— Teraz, mówiła, czuje się zdrowszą, gdy widzę was wszystkich, bo i pana Jana uważam za należącego do naszéj rodziny. Nieopuszczajcie mnie biédnej choréj: przy was odżyję na nowo.

Od tej chwili, coraz więcéj wracały jej siły, dawny rumieniec przykraszał zżółkłe i blade oblicze, bielejące i nabierające czerstwości. Nekanda tylko wieczorem mógł się z Dąbrowy oddalać, ale wracał zaraz tak rano, ażeby razem w komnacie majorowéj już był na śniadaniu.

Po paru dniach, wcześniej niż zwykle przybył do Zacisza. Zastał na ganku siedzącego ojca, który palił fajkę, rozmawiając ze starym kapralem, co sam teraz gospodarował w Zagaju i częściej odwiedzał pana kapitana, którego powiadamiał o zdrowiu majorowéj.

Nekanda uściskał Jacentego, pocałował w ramię ojca i wszedł do dworku. Stary kapral wrócił powolnym krokiem do Zagaja, a kapitan rzekł do syna patrząc że siedzi w swoim pokoiku zadumany.

— Cóż tam słychać mój Jasiu, pani majorowa lepiéj, czy zdrowsza?

— Już zupełnie odzyskała dawne siły i zdrowie wraca powoli, ale ja mam zlecenie od niéj do was mój ojcze.

— Cóż takiego mój Jasiu? pyta zdziwiony kapitan.

— Ona pragnie, azebym się ożenił z panną Klarą!

Co! Co! krzyknął stary. Z panną półkownikówną! To za wysokie progi na waszeci nogi. I to ci zleciła sama pani majorowa?

— Tak jest mój ojcze, odrzekł zrozpromienionémobliczem, trzeba spełnić jej wolę, bo niedostanę grochowego wieńca, ani arbuza!

Kapitan, wyjął z ust fajkę, patrzył zdziwiony na syna, jakby chciał usłyszeć, że to żart tylko, ale gdy wyczytał z jego oblicza pewność i potwierdzenie słów wyrzeczonych....

— Do sto miljonów rejmentów, bataljonów djabłów, zawołał grzmiącym głosem, to panie Janie nie przelewki. Może chcesz żebym ciebie oświadczył?

— Tak mój ojcze! W tę sobotę, tojest pojutrze, pojedziemy do Dąbrowy razem i tam oświadczysz syna, swego jedynaka, prosząc o rekę panny Klary.

Wyrzekł to poważnie Nekanda, stojąc z uszanowaniem przed ojcem.

— Ha! ha! zawołał starzec, na wpół płacząc ze śmiechem z wielkiego wzruszenia; kiedy trzeba to trzeba. I któż się spodziewał, że taki anioł pocieszy moje ostatnie dnie nad grobem i mego Jasia uszczęśliwi?

Otarłszy z łez oczy, mówił daléj.

— To wyraźne błogosławieństwo boskie; snać uprosiła to twoja matka, mój Jasiu, moja Anulka dla ciebie i dla mnie!

Nekanda na wspomnienie matki westchnął boleśnie i padłszy na kolana przed jej olejnym portretem wiszącym na ścianie, złożył ręce jakby do modlitwy. Stary kapitan spojrzał, zapłakał i spiesznie poszedł do gościnnego pokoju. Tu chodził długo zamyślony, aż zmęczony usiadłszy, zaczął podług swego zwyczaju rozmawiać z sobą.

— Więc tedy, niedaremna była pani majorowéj przepowiednia: mój Janek się ożeni i ja nucić będe przy kołysce nasze dawne piosnki, jak mówił pułkownik. Dobrze stary, przypomniéj je sobie jedna po drugiéj.....

I począł nucić te pieśni obozowe, których pamięć dziś przygasła.

Nazajutrz, gdy syn odjechał do Dąbrowy, kapitan z kufra dobył swojéj odświętnéj bekieszki, założył do niéj krzyż Legji Honorowéj, który chował w kantorku, starannie owinięty, i począł czyścić suknię, mrucząc sobie....

— Trzebaby przygotować jaką *perorę* okrągłymi słowy, a moja głowa teraz niepotemu, bo to jutro jechać trzeba z oświadczynami. Ktoby się tego spodziewał, mój Boże!

W sobotę równo ze wschodem słońca zerwał się i pospieszył do syna, który smacznym snem ujęty, z uśmiechem na ustach spoczywał.

— Nie zbudzę go, widać marzy o szczęściu swojém, o! bo to prawdziwe szczęście. Śpij mój chłopcze! niech ci Bóg błogosławi!

To wyrzekłszy cicho na palcach wrócił do siebie i zaczął pacierze odmawiać, gdy z cicha drzwi się otwarły i oblicze wąsate a siwe ukazał stary kapral.

— A jak się masz? zawołał radośnie kapitan, w samą porę przybyłeś kochany Jacusiu. Ja dzisiaj jadę w konkury, to jest oświadczam mego Jasia, i mam prosić o rękę panny waszéj, panny pułkownikownéj. Powiédz mi czy mogę w mojéj bekieszy jechać?...

— A to czemu nie, odrzekł poważnie kapral, ten krzyż i sukmanie pańskie drzwi otworzy.

Kapitan uściskał Jacentego i zaprosił na zwykłe śniadanie swoje, złożone z grzanego piwa z kminkiem, cukrem i chlebem z masłem świéżém. Tak siedzących i gwarzących razem starców, ujrzał wchodząc ubrany Nekanda, bo czas się zbliżał do drogi, a mila dobra była z Zacisza do Dąbrowy. Jacenty pożegnał wsiadających na bryczkę Nakandów i wesoły wracał do Zagaja.

Dziesiątą na zégarze w sali pani majorowéj wykukała kukułka, gdy zajechali przed ganek dworski. Pułkownik siedział przy łożu na którym ubrana spoczywała, gdy służący dał znać o przybyciu pana kapitana z synem.

— Prosić tu do mnie, rzekła majorowa z rozpromienioném obliczem, ty mój Stasiu pomóż nieśmiałości kapitana poczciwego.

Po chwili wszedł starzec z synem, a oddawszy uroczysty pokłon, przemówił drżącym głosem.

— Panie pułkowniku! ja przychodzę tu... lubo z nieśmiałością, prosić o rękę twéj córki dla mego syna i niespodziewam się, jako stary towarzysz broni odmowy przykréj... bo...

Ale dalej mówić nie mógł.

— Mój panie Franciszku, twoje oświadczyny robią mi najwyższy zaszczyt, bo kocham i szanuję twego syna. Ja i babka chętnie się zgadzamy na to, ale tu głos stanowczy ma sama panna. Klarciu, rzekł zwracając się do córki którą zarumienioną i pomieszaną wiódł brat Władysław, ty decyduj o swéj przyszłéj doli...

Nekanda wtedy wystąpił i patrząc na drżącą od wzruszenia Klarę:

— Droga pani, wydaj wyrok szczęścia lub nieszczęścia mego. Mogę ci tylko powtórzyć, com dawniéj mówił twéj zacnéj babce, że poświęcę życie moje dla ciebie....

I ukląkł przed nią. Klara podała mu obie ręce i podnosząc od stóp swoich, rzekła spokojniejszym głosem:

— Godzę się z wolą babki i ojca i ja dla szczęścia twego panie, poświęcę życie moje!

Kapitan całował ręce majorowéj, która jakby odmłodzona, siedząc na łożu ściskała na przemiany to Klarę, to Nekandę, zięcia i wnuka. Ślub oznaczono na dziesiąty stycznia jako rocznicę wesela pułkownika, a babka rzeźwa, kazała stół zastawić w sali, prosząc aby do niéj prześli, gdzie i sama przybędzie, czując się zupełnie zdrową. Jakoż niedługo wsparta na ręku wnuków swoich przybyła.

Nekanda po rozmowie cichej z Klarą, oświadczył pułkownikowi, żeby się nie troszczył o nic dla córki. Wyprawa gotowa, a on tymczasem przybuduje parę pokoi w dworku swoim, aby wygodę miała przyszła jego małżonka.

— Nie dla posagu, pokochałem pannę Klarę, mówił, zapracowałem krwawym znojem dostatnie mienie dla niéj, dla ojca i dla siebie. Bóg daléj będzie nam błogosławił.

Pułkownik z dziećmi wrócił do Zagaja spokojny o zdrowie majorowéj, która zrzuciwszy ciężką troskę z serca o los swéj wnuczki, wróciła do dawnych zajęć gospodarskich.

Nekanda dłużej przesiadywał w Zaciszu, spiesząc z przybudowaniem cztérech pokoi do starego dworku. Obaj z ojcem pilnowali cieśli i mularzy; przed piérwszemi śniegami robota była skończona i dworek stał w pogotowiu na przyjęcie pięknéj i młodéj narzeczonéj.

Mrozy i śniegi pojawiły się dopiéro w końcu listopada, a z niemi nadbiegła wieść, że pani Kawęcka z Krowodrzy, powiła syna, który w parę godzin umarł, sama zaś jest bez nadziei życia. We trzy dni zgasła na ręku zrozpaczonego męża, który z jej zgonem tracił miljonowy majątek. Stary Königsman mieszkał od jesieni w Berlinie; na wiadomość o śmierci córki, odpisał krótko, ażeby jej zwłoki odesłać do Berlina, a on sam nie mogąc zjechać, przyśle pełnomocnika swego, który się zajmie całym majątkiem zmarłéj.

Pan Adolf spełnił życzenie ojca, odprowadził zwłoki żony do granicy, gdzie już czekał pełnomocnik Königsmana, który zapowiedział mu, ażeby miał gotowe rachunki, gdyż za tydzień zjedzie do dóbr, które jako hipotekowane na imię ojca odbiera i ma polecenie sprzedaży; gdyż po takiéj stracie, Königsman przenosi się na stałe do Prus mieszkanie.

Kawęcki wrócił do Krowodrzy złamany cierpieniem i utratą majątku. Pełnomocnik w oznaczonym czasie przybył i doręczył mu list od Königsmana. W nim stanowcze co do odebrania majątku zrobiwszy postanowienie, dołączył assygnację, ażeby pełnomocnik wypłacił mu, jako zwrót kosztów na żeniaczkę sześć

tysięcy talarów. List zakończył témi słowy: „a gdy odwiedzisz nasz kochany Berlin, masz u mnie darmo stół i stancję, cygara suche i dobre, wystałe nasze piwo.“

W rocznicę pojedynku, pan Adolf mieszkał teraz w samotnym dworze w *Lipówce*, dawni przyjaciele zapomnieli o nim, jeden rotmistrz czasami odwiedzał, aby wypić parę butelek starego węgrzyna, z którego wypróżnił wcześnie piwnice swego teścia, obliczający na przyszłość dziedzic Lipówki.

Ciotka, która wiedziała o wszystkiém, zjechała w odwiedziny do bratowéj i zaraz zaprosiła Adolfa. Wspierając się na kuli przybył posłuszny siostrzeniec, zmieniony do niepoznania. Rok życia, który przebył, wycisnął na nim piętno przynajmniéj lat kilkunastu. Znikł żywy rumieniec, gładkie czoło poorały brózdy troskliwéj myśli, włos bujny, przerzedzony siwizna sprószyła. Ciotka ujrzawszy go, krzyknęła z podziwienia, ale miarkując się, udała że to oznaka jéj przywiązania.

Po długiéj rozmowie, w któréj dzieje krótkie swego życia wiernie opowiedział, ciotka wyrzekła:

— Teraz radzę ci pojedźmy za granicę!

— A to po co? zapytał zdziwiony.

— Masz przecież fundusz dostateczny, na parę lat wystarczy te sześć tysięcy talarów.

— Nie zrobię tego, i nie posłucham rady kochanéj cioci, odrzekł z uśmiechem szyderskim. Z jej łaski, straciłem dobre imię, bo straciłem honor, jestem kaleką; wstyd mnie ściga i śmiało w oczy ludziom spojrzeć nie mogę. Posag Karolki mojéj, mógł mnie pocieszać i wyjednać stanowisko lepsze; ale dziś, wypędzony z Krowodrzy, mając dosyć długów na Lipówce, lecieć za granicę, ażeby ostatni grosz stracić? Nie kochana ciociu, tego głupstwa nie zrobię, bo temi pieniędzmi zasłonię się od biédy.

Ciotka rozgniewana wybiegła, kazała zaprzęgać i odjechała natychmiast; wtedy piérwszy raz siedząca w zakątku sędziwa matka się odezwała:

— Nie chwaliłam wielu twoich postępków, ale teraz ci powiem że robisz dobrze!

Dnia 10 stycznia w rok po pojedynku, odbył się ślub Jana Nekandy z pułkownikowną w Zagaju, w obecności całéj rodziny i babki, a w parę dni przenosiny do Zacisza. Na progu dworku, z chlebem i solą, przyjął sędziwy kapitan państwa młodych, ze łzami radości, powtarzając często:

— O czemuż tego szczęścia niedożyła moja Anulka!

W rok później kołysał swego wnuka, a paląc fajkę nucił do snu dziecinie. *Stary kapral*, co częściej teraz zaglądał do swojej *panienki*, jak się wyrażał, wystrugiwał z suchego drzewa szabelki, robił koniki, przypominając kapitanowi całe strofki piosnek dawnych, których starzec już zapomniał.

Gwiazda szczęścia i spokoju przyświecała stale skromnemu dworkowi w Zaciszy, gdy w Lipówce, w samotności i zgryzocie starzał się Adolf Kawęcki, przezwany od sąsiadów *Łowcem na posagi*.

Próbki stylu z końca XVII wieku.

Listy od młodzianów do panien.

Zamieszczamy tu kilka kopji z listów, które niegdyś miały malować tkliwość najwyższą i bezwątpienia rozrzewniały serca panienek, do których były wystosowane; dziś śmieszą tylko i służą jedynie za próby stylu napuszonego i ckliwego, z którego zdaje się, że uczucie uleciało wraz z prostotą.

I.

Odjeżdżając acz na krótki czas z krajów tych, głucho mi się tego uczynić nie zda. Radbym to był sam uczynił oczywiście, ale ponieważ tego sobie u szczęścia wyżebrać nie mogę, niechaj ta karta na którą serce utrapione nieraz wszystkie swoje tajemnice wylewało, to za mię odprawi. O jako szczęśliwa nademnie będzie co w te ręce się dostawszy, w którychbym ja rychło być życzył sobie; zajrzę jéj tego, zajrzę jéj koniecznie. Ale cóż temu rzec? wszak też to wszystko szczęście moje cokolwiek jéj fortunnego się stanie. Ja też sam co to będę wszystkiemi siłami potrafiał, żebym się niedługo absentował od posług WMPanny; a czas ten krótki ledwie mi się nie w rok obróci, bobym najprędzéj leciał, kędy komu pilno nie spora mu się droga widzi. Cierpca przyjdzie przyłożyć, jakoż i to nie zły plastr na tęsknicę, znać łaskę po Panu, którejem ja (chyba mi się podobno tak widzi) pewien po WMci; ale mi się mięszka w drogę, dłużéj pisać nie mogę, a im się tu dłużéj zabawię, témbym się nie prędzéj wrócił. Więc tu już stanę. Świadomaś WM. MPanno cale uprzejmego serca mego, bądźże na wieki moja MPanno Panem moim, którego ja ze wszystkich jednego obrał sobie. Ostatek Bogu w moc a fortunie oddaję, która nad wolę jego nic wykraczać nie może. Dan na wsiadaniu etc. etc.

II.

Dałaś mi W. M. onegdaj kamień: czy to na to, że tam kamień nie serce, gdziem ja uwięził serce swoje? Czyli więc choć kamienne, tak jednak zniewolone szczerością mą i uprzejmemi posługami memi, jako on kamień był powiązany kiedy mi się w ręce dostał? Otom taki prostak, że się domyślić nie mogę; wiem jednak jakobym był szczęściu powinien, kiedyby mi się to poślednie rozumienie nadało: ale jakożkolwiek padnie, lubobym się o to ja i zawiódł, nigdy miejsca u mnie odmiana nie miała. Lepiéj się czekając nie doczekać, niźli sobie okrutny i niepodobny gwałt czynić, chcąc zapomnieć tego co po wszystkiém sercu korzenie rzuciło. To mi jednak dziw, jakobyś to W. M. zgadnąć miała, kto tak okrutnie panuje myślom moim, gdyżem to ja tak dobrze zagrzebł w sobie, nie sądząc aby się kto miał dokopać, ale ledwie rozumiem, żeby ten sam co tak tyrańsko poczyna ze mną, miał wiedzieć o tém? Co wiedzieć jednak? Sybilleć wieszczki były, może być żebyś i WMć zgadnąć mogła, a jabym się téż bynajmniéj o to nie rozgniewał. Takem pewien i dyskrecji WMci Méj MPanny i łaski, żebyś mi WM. tego nie życzyła, przez cobym szkodować miał na tém; wiele by to naraz na szansz stawić. Zostawam zatém sługą życzliwym i przyjacielem nieodmiennym.

III.

Moja MPanno, Pegazowych skrzydeł, Anielskiego lotu, prędkości chyżego i rączego krogulca gdybym mógł dostać, z serca bym sobie życzył, abym mógł do usługi WM. MPanny na każdą godzinę przybyć. Jednak między skałami i magnesami pewnemi żeglując, łódź moją potężniejszy magnes przyciąga, którą Neptunus trydentem swoim popycha, a Zephirus z drugiemi szczęśliwemi wiatry powiewa. Jednak odbiwszy od portu życzę, abym w Nestorowém zdrowiu zastał WM. swoję MPannę, któréj się w łaskę z nawalnościami usług moich jak najusilniéj i jak najpilniéj oddaję.

Wiadomości Literackie.

Monumenta Poloniae Historica. Pomniki dziejowe Polski, wydał August Bielowski, Tom I. Lwów 1864. (8ka wielka. Str. XXXII i 946).

Jeszcze w r. 1852 ogłoszony był we Lwowie program wydania źródeł do dziejów Polski, pod powyżéj wyrażonym napisem. August Bielowski, dyrektor Zakładu nar. im. Ossolińskich, chlubnie już znany uczonemu światu z ważnych swych prac literackich, zdaje sprawę w obszernéj a pięknéj przedmowie, dla czego zamiar ten aż do roku przeszłego nie mógł być do skutku doprowadzony. Po 12 leciech powiodło się przecie niezmordowanym usiłowaniom jego wydać z druku, i to własnym nakładem, ogromny tom piérwszy najdawniejszych pomników dziejowych Polski. Oprócz zbiorów naukowych znajdujących się we Lwowie, i bibliotek klasztornych galicyjskich, wydawca zwiedził biblioteki w Krakowie, Wiedniu, Pradze, w Koenigswart, Dreznie, Monachium, Berlinie, Poznaniu, Kórniku, Wilanowie, Petersburgu i Moskwie; poszukując w nich źródeł i pomników naszych dziejowych. W tym celu przeglądał wprawném okiem najstarsze rękopisma, które albo dotąd wcale nie były znane, albo nienależycie były ocenione, i wybierał z nich wszystko, to co stanowi źródła dziejów Polski do końca 14 wieku. Porównywał przytém rozmaite wydania odnośnych dzieł źródłowych między sobą; użyte zaś od innych i ogłoszone już rękopisma, jeszcze raz sam przezierał, porównywał i poprawniéj wydał.

Z wielką troskliwością a nie z mniejszą trafnością zebrał wydawca w porządku chronologicznym wszystkie pisma źródłowe, które bliżéj i bezpośrednio obchodzą ziemię i ludzi starożytnéj Polski, począwszy od r. 552. Zawierają się tutaj pisma łacińskie, greckie, hebrajskie, normandzkie, anglosaksońskie, starosłowiańskie. A że to dzieło pomnikowe głównie na użytek ziomków jest przeznaczone, z wyjątkiem przeto łacińskich dzieł, do innych pism w różnych językach dodane jest obok tłómaczenie polskie. *)

Przedmowa, wstępy do każdego pomnika, objaśnienia i poglądy krytyczne, opracowane gruntownie i naukowo, pisane są po polsku, z niezrównaną jasnością, prostotą, swobodą i stylem Bielowskiemu tylko właściwym, z pod którego pióra najpoważniejszy przedmiot występuje w postaci swobodnéj, lekkiéj i uroczéj, nie tracąc bynajmniéj na swéj gruntowności.

Dzieło niniejsze przeznaczone jest nie dla samych tylko osób dziejami polskiemi zajmujących się: gdyż i ci, co na ogólném polu dziejów słowiańskich pracują, znajdą w niém nie mały zasób do swojéj budowy. Składa się ono z dwóch części. I) Świadectwa o Słowianach. II) Pomniki Polski. Piérwsza część zawiéra wyjątki z Jor-

*) Tłómaczyli: z greckiego Antoni Małecki dr. filoz. i profesor Uniwersytetu lwowskiego; z normandzkiego i anglosaksońskiego Karol Szajnocha; z hebrajskiego Abraham Münz, z starosłowiańskiego, sam wydawca.

nandesa (ok. 552) o Słowianach nadwiślańskich i nadbaltyckich; z Byzantynów Teofilakta Simokata (ok. 629) i Teofanesa (ok. 817). Podróże śpiewaka (wiek 8.) i wyciągi z geografa bawarskiego (z lat 866-90;) z Otera Norwegskiego i Wulfstana „Periplus“ (przed r. 900); króla Alfreda opis Germanji (871-901). W drugiéj części znajdujemy wyimki z dzieła Konstantyna Porfirogennety o zarządzie państwa. List hiszpańskiego Rabina Chasdaja do króla Chazarów Józefa, po hebrejsku, wraz z odpowiedzią króla również po hebrejsku (z r. 950). Żywot ś. Metodego; wyjątki z Witukinda księgi 3ciéj dziejów Saksońskich; opis granic biskupstwa Praskiego zawarty w dyplomacie Henryka IV z r. 1081; darowiznę Gniezna stolicy apostolskiéj (985-96). List L'etpalda do ś. Wojciecha (ok. 996); męczeństwo ś. Wojciecha; Jana Kanaparza żywot tegoż świętego, opracowany przez Aleksandra Batowskiego. Brunona żywot ś. Wojciecha. List Brunona do cesarza Henryka II z r. 1008. Wipert'a o śmierci ś. Brunona. Wyciągi z kroniki Thietmara; nagrobek Bolesława I; listy Matyldy do Mieczysława II. (ok. 1027); Ryxy królowéj zapis kościołowi kolońskiemu ś. Urszuli (1030-35) wyimki z żywota ś. Romualda przez Damiani'ego (ok. 1040); Ryxy nadanie dla klasztoru w Brunwiler (1054); o założeniu klasztoru w Brunwiler (1076-79); brewe Benedykta IX papieża do Aarona arcybiskupa krakowskiego (ok. 1046); Bolesława II Śmiałego nadanie dla klasztoru w Mogilnie (1065); listy: Wratysława książęcia czeskiego do Bolesława II Śmiałego (ok. 1074), Grzegorza VII papieża do tegoż Bolesława (1075), i do Dymitra Wgo Xcia kijowskiego; Lamberta biskupa krakowskiego do czeskiego Wratysława (1079-82), Władysława Hermana polskiego do antypapieża Klemensa III (ok. 1087); spisy dawne skarbca i biblioteki kapitulnéj krakowskiéj; Galla kronikę (najlepsze dotąd wydanie), kronikę węgiersko-polską opracowaną przez Stanisława Pilata dra. filozofji; nadania Bolesławów Chrobrego i Krzywoustego przez Idziego legata papieskiego potwierdzone. Daléj następuje Latopis Nestora w tekscie pierwotnym, z polskim obok przekładem, opracowany przez wydawcę i Jana Wagilewicza, znawcę języków słowiańskich. Wydanie latopisu Nestora przez Bielowskiego odznacza się od petersburskiego „w Sobranje polnoje ljetopisej ruskich“ nie tylko krytyczném przejrzeniem tekstu, ale także i przez to, że drukowane jest kyrylicą, gdy do wydania petersburskiego użyto nowych liter, które dopiéro od Piotra Wielkiego zaprowadzone zostały, przez co odpadło wiele znaków pisarskich kyrylickich, jakich nowo ruskie abecadło nie ma, jak np. nosowe głoski ją, ję. Ostatnim pomnikiem w tym szacownym zbiorze jest: Nauka Xcia Włodzimierza Monomacha i list jego do Olega książęcia czerniechowskiego. Oba te pisma, tylko w jednym kodexie Laurentyńskim latopisu Nestora znajdujące się, w wydaniu petersburskiém Nestora do tekstu samego wcielone zostały, lubo nie należą one tam bynajmniéj. Na końcu tomu dodany jest obszerny ukaziciel.

W objaśnieniach do Nestora czytamy ważne spostrzeżenie wydawcy, mianowicie: ze Nestor zrobił z Warega Dira, który około r. 862 w Kijowie osiadł, dwie osoby Oskolda i Dira, podczas gdy *oskylld*, co wskandynawskim znaczy „cudzoziemiec,“ jest tylko przymiotnikiem Dira. Ze Oskold i Dir jest jedną i tą samą osobą, tego ile nam wiadomo, piérwszy dowiódł Bielowski, przynajmniéj nie znaleźliśmy nigdzieindziéj tego postrzeżenia, i Sergiej Sołowijew, professor historyi rosyjskiéj na Uniwersytecie moskiewskim, w swojéj Istorii Rossii, mówi także o Askoldzie i Dirze, jako o dwóch różnych osobach. Ale za to czytamy w Sołowijewie (I. 316, nota 43) trafne objaśnienia nazwy ludów *Dregowiczy* i *Krywiczy*, którego w Bielowskiego notach do Nestora nie znajdujemy. Otóż podług Sołowijewa, nazwy te oznaczają mieszkańców okolic błotnych, *dregwa*, *drjagwa* w narzeczu zachodnio-ruskim, a *kirba* w języku litewskim znaczy błoto. Jakoż własność miejsc zgadza się najzupełniéj z tém objaśnieniem: okolice bowiem przez owe plemiona zamieszkałe, jeszcze i dziś pełne są błot i moczar.

Serdecznie życzyć należy, ażeby te pomniki dziejowe znalazły takie przyjęcie u powszechności naszéj, na jakie co do ważności swéj ze wszech miar zasługują. Życzyć także należy, ażeby szanowny wydawca postawiony był w możności wydawania dalszego ich ciągu, do czego, ile nam wiadomo, ma już materjały przygotowane. Z pochwałami dzieła tego szerzyć się nie potrzebujemy, znany bowiem talent pisarski i gruntowna nauka, połączona z krytycznym zmysłem Bielowskiego, uwalniają nas od tego zadania. Miłośnik dziejów ojczystych, czytając same wstępy i objaśnienia do każdego pomnika przez wydawcę dodane, sowicie będzie już wynagrodzony za trud jaki podejmie w odczytaniu tych bardzo cennych pomników dalekiéj przeszłości naszéj.

Wilanów, 29 czerwca 1865.

Stanisław Przyłęcki.

WSPOMNIENIE DWULETNIEGO POBYTU W JAWIE.

(Wyjątek z dziennika podróży odbytéj w ostatnich czasach).

(Ciąg dalszy).

IV.

Galernicy.— Przejazd gubernatora jeneralnego przez Söerabaja.— Igrzyska konne.— Książęta jáwańscy.— Konie.— Orangutangi.— Wdzięczny Kakatoes.— Amok — Mordercy dzieci.—Wykonanie wyroku.—Wypadki podróży z Batawji do Boghory.—Boghora i jej okolice.

Porzucam już opisy świąt i uroczystości, bo w téj chwili straszny widok przedstawił się oczom moim, był to pochód ludzi smutnych i wynędzniałych, jednakowo ubranych. Odzież ich wytarta składała się z granatowych kamizelek i krótkich tunik. Niektórzy nosili na nogach i szyi grube łańcuchy żelazne. Byli to nieszczęśliwi galernicy, których liczne oddziały spotykać można co chwila w mieście i jego okolicach. Używają ich bezustanku do robót publicznych; zamiatają ulice, wywożą w taczkach kamienie i nieczystości, albo dźwigają ciężary, a ich wychudłe i smętne twarze, ogorzałe od południowego słońca, bolesny przedstawiają widok. Każdemu oddziałowi towarzyszy osobny dozorca, który nielitosnemi razami pobudza często czujność swych ofiar, przerywa każdą ich rozmowę, pilnując bacznie aby nieustawali śpiewać, co jest jedynym sposobem zapobieżenia spiskom, które ciągle knują. Śpiew ten okropny, na długo pozostał mi w pamięci, złowrogie budząc wspomnienia.

W czasie pobytu mego w Söerabaja, pan Pacha, namiestnik króla holenderskiego, a gubernator jeneralny Jawy, odbywał przegląd wyspy zwyczajem wszystkich rządców, którzy tam przez lat pięć urzędują, po czem zwykle odwołani bywają do Holandji. Nakazano w mieście wielkie uroczystości z powodu przybycia tak znakomitéj osoby. Robiono bramy tryumfalne z bambusów i palm kokosowych, a wszystkie te arcydzieła sztuki wykonywali po największéj części krajowcy. W dzień przybycia jego Excellencji, snuły się po ulicach tłumy zbrojnych ludzi, którzy mieli towarzyszyć orszakowi. Ubiór ich składał się z kamizelek jednakowego koloru i krótko podniesionych tunik lub szerokich spodni. Uzbrojeni byli tylko w lance. Na rynku zebrało się mnóstwo ludzi pieszych, europejczycy byli konno lub w powozach. Około godziny dziewiątéj, wystrzał armatni zwiastował wylądowanie gubernatora. Po chwili wyruszyliśmy z miejsca zebrania; tuman kurzawy i zbliżający się orszak ludzi pieszych, konnych, w powozach, wszystko w takim nieładzie, krzyku i zamieszaniu, że niepodobna było nawet rozróżnić pojazdu dygnitarza. Pominiemy dalsze czynności jego jako urzędnika i odwiedziny starszyzny miasta, a opiszemy tylko igrzyska, które na jego przyjęcie wyprawił książe Söerabaja. Na rozległéj równinie, otoczonej w czworobok zbrojnemi ludźmi, konnemi i pieszemi, książęta oczekiwali przybycia gubernatora, który miał zasiąść na wyniosłém siedzeniu w pośrodku dla niego urządzonem. Można było swobodnie przyjrzeć się ich bogatym wschodnim ubiorom i błękitnawéj skórze rąk i twarzy, jakby wśród południa światłem księżycowém oblanéj. Rysy ich są jednak piękne i doskonale regularne, ruchy swobodne i pełne wdzięku, może tylko nieco zniewieściałości zarzucić im można. Ubrani do połowy ciała w bogate materje i pasy przetykane srebrem i złotem, ramiona i ręce mieli obnażone, a z powodu tak ważnéj uroczystości, natarte mąką ryżową mieszaną z szafranem. Na głowach zawoje czarne, niebieskie lub czerwone, ozdobione galonami złotemi i srebrnemi podług godności osoby. Uszy ich ozdobione były rodzajem skrzydeł przetykanych świeżemi kwiatami, bo sam tylko rejent państwa, który przewodniczy uroczystości, mógł wystąpić w swoich kosztownościach brylantowych. Prawie wszystkim książętom towarzyszyli oficerowie przyboczni, z których jeden obowiązany był zastawiać swego pana dużym parasolem, aby ochronić płeć jego od spiekoty słonecznéj. Te ogromne różnobarwne parasole przedstawiają uroczy widok. Konie mieli przybrane w bogate siodła i czapraki haftowane złotem. Wkrótce ruch niezwyczajny w całém zgromadzeniu, oznajmił nam przybycie gubernatora. Rejent dał znak i wszyscy powstali, konie rżały z niecierpliwości, jeźdzcy ustawili się w kolumny i rozpoczęli turnieje które trwały kilka godzin, z wielkiem utrudzeniem aktorów i widzów. Opis dokładny téj zabawy byłby prawie niepodobnym i znudziłby naszych czytelników, dlatego ograniczemy się na niektórych tylko szczegółach. Pietnaście tysięcy kawalerzystów podzieliło się na dwie kolumny, ustawili się na dwóch przeciwnych końcach i natarli na siebie wzajemnie sposobem arabskim; po chwili starcia powracali spokojnie na miejsce i do nowego ataku czynili przygotowania. Po kilku godzinach szykowali się znowu w dawnym porządku i pojedyncze zaczynali utarczki. Jeźdzcy nacierają na siebie z nadzwyczajną zręcznością, grożą sobie wzajemnie, jednakże rzadko ranią przeciwnika zadawalniając się wysadzeniem go z siodła. Igrzysko zakończone zostało wesołém widowiskiem. Wpuścili dwa młode konie do których przywiązane były manekiny wyobrażające chińczyków, malajczyków lub oficerów holenderskich. Lud witał

ich wesołemi okrzykami śmiechu, a młode konie przestraszone, brykaniem i prędkim biegiem zrzucały jeźdźców swoich, lekko przywiązanych na ich grzbiecie, co podwajało wesołość widzów. Na tém skończyła się zabawa, rejent zsiadł z konia, kazał sobie włożyć pantofle, (zapomniałem powiedzieć, że wszyscy jeźdzcy mają nogi gołe) i wraz z gubernatorem czynił przegląd gwardji honorowéj, która wykonywała najdziwaczniejsze ćwiczenia, na znak powitania i uszanowania.

W czasie tego igrzyska miałem sposobność ocenić doskonałą rassę koni malajskich, chociaż te uważane są w kraju za gorsze od innych.

W Söerabaja jest więcéj osobliwych zwierząt jak w innych częściach wyspy Jawy. Widziałem tam dnia jednego młodą parę orangutangów świeżo przywiezionych z Borneo. Dano im obszerne podwórze na miejsce przechadzki, a za pokój sypialny dużą skrzynię przewróconą, otwartą z jednego boku. Zwierzęta te niezbyt wysokie, mało podobne były do małp i gdyby nie ruda sierść pokrywająca ich muskularne członki, byłbym je wziął za malajczyków małego wzrostu. Ich czoła i twarze były gładkie, oczy duże, czarne jak węgiel, w oprawie kształtu migdała, tylko szerokie policzki i zęby osadzone na przodzie, przypominały ich pochodzenie. Podawane im jedzenie chwytały z gestem właściwym indjanom. Samica, która dziwnie podobną była do żony mego kucharza w Batawji, miała na głowie mały koszyczek bambusowy zamiast kapelusza, ale używała go tylko w cieniu, zdejmując zawsze gdy słońce przyświecało.

Wspominałem wyżéj o kupieniu dwóch papug z gatunku zwanego Kakatoes, jedna z nich dała mi późniéj dowód przywiązania i roztropności, którego pominąć nie mogę w mojém opowiadaniu. Po krótkim czasie, oba te ptaki stały mi się nieznośne z powodu ustawicznego świergotania i hałasu jaki czyniły, uciekałem z własnego mieszkania, nie mogąc w niém wytrzymać ani rozmówić się ze znajomymi; wreszcie postanowiłem odprzedać jednę papugę, sądząc że samotność uspokoi drugą. W saméj rzeczy świergotanie ustało, ale kiedy dnia jednego przechodziłem około sklepu kupca któremu oddałem mego ptaszka, biédne stworzenie poznało mnie po głosie i uczułem się nagle silnie pochwyconym za kamizelkę. Napróżno usiłowałem się uwolnić, mój kakatoes przyczepił się mocno i nie chciał mnie puścić, ale wszelkiemi sposobami okazywał mi radość i zadowolenie swoje. Ulitowałem się wreszcie nad poczciwém stworzeniem, kupiłem je powtórnie, a gdy przyniosłem do domu, dawniejsze koncerta rozpoczęły się na nowo.

Będąc w Söerabaja widziałem rzecz szczególną, któréj wielu już naturalistów zajmowało się nadaremnie sprawdzeniem. Chcę mówić o żywych perłach. Pewna dama europejska miała je u siebie w małém pudełeczku, utrzymując że się mnożą. Było ich siedm, dwie z nich większe jak drugie, zdawały się być ojcem i matką rodziny. Za pokarm dawano im ziarnka ryżowe i trzy razy w tydzień kąpano w wodzie morskiéj, strzegąc od mocnych zapachów, nadewszystko zaś od woni wody kolońskiéj, któréj wcale nie znoszą. Usiłowałem, o ile możności, przekonać się o prawdzie podania o żywych perłach; indjanie i chińczycy twierdzą bowiem, że w saméj rzeczy znajduje się u nich rodzaj pereł, który utrzymywany sposobem wyżéj opisanym, rozradza się w zamknięciu i wielkie korzyści przynosi, a wielu już Europejczyków, podróżujących po Jawie, wspomina o téj osobliwości, ale moje spostrzeżenia były zawsze nadaremne.

Opisując obyczaje mieszkańców Söerabaji, pochwalałem często przebiegłość ich i dowcip w wynalazkach, teraz pozostaje mi jeszcze wspomnieć o zbrodniach, do których prowadzi ich brak moralnego wykształcenia, lub chęć dogodzenia wyuzdanym namiętnościom.

Pewnego dnia siedzieliśmy przy obiedzie w hotelu Schmidta i usłyszeliśmy z dala okrzyk trwogi, który nas nadzwyczaj przeraził. Wybiegamy wszyscy i widzimy pędzącego jak strzała młodego człowieka, którego twarz wyrażała najokropniejszą wściekłość.

Amok!... amok... wołano ze wszystkich stron. Niektórzy z widzów puścili się w pogoń za uciekającym, większa część pochowała się do domów i w mgnieniu oka opustoszały ulice, jedna tylko kobiéta pozostała i z płaczem pokazywała nam obcięte włosy swoje. Nie miałem czasu zapytać jéj o przyczynę żalu, bo Schmidt pociągnął mnie do swego powozu i ruszyliśmy cwałem w ślad za nieszczęśliwym. Zdaleka ujrzeliśmy go gonionego przez kilkunastu ludzi uzbrojonych w widły i lance; na rynku bito w rodzaj bębna drewnianego, wojsko wystąpiło pod broń. Niedługo powiedziano nam, że już schwytano zbiega, wszystko wróciło do dawnego porządku i my do naszego hotelu, gdzie wytłumaczono mi to zdarzenie.

Jawańczycy są z natury łagodnego i nieśmiałego usposobienia, chociaż w Europie przeciwnie utrzymują. Otóż kiedy powezmą zamiar zbrodni, potrzebują do jéj wykonania odurzenia umysłu czyli upojenia, wtedy używają opium i raz pod wpływem téj strasznéj trucizny, stają się nieubłaganymi. Szalony Jawańczyk rzuca się wtedy z bronią w ręku na przedmiot swéj zemsty, wygrażając strasznym krissem, (rodzaj noża), potém leci jak szalony przez ulice zabija i rani wszystko, co spotka na swojéj drodze. Widziano Indjan zabijających w tym stanie upojenia po kilkanaście niewinnych ofiar; dlatego to postrach taki wzbudza widok *Amoka*, tak bowiem zowią ten rodzaj szaleństwa. Na jego odgłos wojsko staje pod bronią i natychmiast wysełają w pogoń jeden oddział uzbrojony w pe-

wien rodzaj widłów z licznemi kolcami, które nadzwyczaj bolesne razy zadają, a często o śmierć przyprawią nieszczęśliwego.

Ten o którym tu mówiemy, zwał się Ali, i był kucharzem w hotelu Schmidta. Chłopak uczciwy, spokojny i gorliwy w służbie, lubionym był od wszystkich i dobrze wynagradzanym przez swego pana. Na nieszczęście pokochał się w młodéj swojéj krewnéj, a Leda była równie nieczułą jak piękną. Ani bogate podarki i wzorzyste tuniki, ani zaklęcia i pochwały oddawane jéj czarnym zębom i oczom, pozłacanéj płci i giętkiéj kibici, nic nie mogło wzruszyć okrutnéj dziewczyny, odmawiała mu zawsze czarnéj ręki swojéj, a w końcu obiecała ją Naidimowi, niegodnemu współzalotnikowi, który w niczem nie mógł porównać się z Alim, a za cały majątek posiadał trochę rupieci zamkniętych w kufrze z drzewa kamforowego.

Na tę wieść, Ali wpadł w wściekłość i poprzysiągł zemstę. Napił się opium, potém pobiegł do swojéj kochanki, grożąc strasznym nożem rzucał się na nią i tylko gęste włosy rozpuszczone po szyi, ochroniły nieszczęśliwą od niechybnéj śmierci. Potém wypadł na ulicę i ranił kilka niewinnych osób, wreszcie schwytany na widły przez gwardję wtrącony został do wiezienia; po kilku dniach stawiony był przed trybunałem jawańskim, który go skazał na najokropniejsze męczarnie; sąd holenderski zmienił tę karę na prosty wyrok śmierci. Zazdrość, chciwość, lub zabobony są malajczykom zwyczajną pobudką do zbrodni. Podczas pobytu mego w Söerabaja, przytrafił się jeszcze wypadek, który opowiedzieć muszę moim czytelnikom.

W niewielkiéj odległości od przedmieścia, stała porządna oberża, utrzymywana przez pewne małżeństwo, które uprzejmością niezwykłą jawańczykom, zwabiało do swego domu licznych gości. Majątek ich powiększał się téż coraz bardziéj i już zazdrośni sąsiedzi o czarodziejstwo obwiniać ich zaczęli pokątnie; nic jednak nieusprawiedliwiało tego podejrzenia. Aż dnia pewnego mała dziewczynka zniknęła w téj dzielnicy i wszelkie poszukiwania dla znalezienia jéj były daremne; zaczęto szemrać i utrzymywać że widziano to dziecko idące do oberży i że tam tylko musiało być zamordowane. Te głuche pogłoski doszły do uszu policji, aresztowano gospodarzy domu, a po kilku badaniach okazało się, że byli winnemi zbrodni, poprzedzonéj kilkoma innemi. Jeden z sędziów opowiadał mi dalszy ciąg téj historji w następujący sposób:



Skutki opium.

Pewnego dnia biédny ksiądz indyjski *Hadji* zatrzymał się przed skromną oberżą i prosił o gościnność, gospodarze przyjęli go uprzejmie i przez kilka tygodni podejmowali uczciwie, nie upominając się o zapłatę. Kiedy już wreszcie odpoczął i odżywiony należycie zaczął się wybierać w dalszą drogę, przed odejściem przyznał się gospodarstwa że nie mając pieniędzy, nie może odpłacić ich gościnności, jak tylko dobrą radą, która, przydał, często więcéj warta jak wszystkie skarby świata. „Jeżeli chcecie zostać bogatymi, rzekł im, dosyć wam będzie zabić corocznie małą dziewczynkę, od siedmiu do dziesięciu lat, krwią jéj pofarbować próg domu, a ciało pochować wewnątrz, obaczycie jak wszystko będzie się wiodło w waszych zamiarach i w jak krótkim cza-

się zbierzecie majątek i będziecie żyć długo i szczęśliwie, poważani od wszystkich.“

Rada tego nędznika była niestety! aż nadto ściśle wykonaną; poszukiwania policji odkryły kilka trupów dziecinnych, pochowanych w głębi domu. Zabójcy skazani zostali na powieszenie, a dwie inne osoby, które zdawały się mieć wspólnictwo w zbrodni na galary i karę cielesną. Co zaś do księdza, nie można było trafić na ślad jego. Tymczasem sędziowie okazywali niejaką wątpliwość względem stopnia winy kobiéty i zachęcali ją do zupełnego wyznania, obiecując cofnąć karę śmierci. Gubernator jeneralny w przejeździe swoim przez Söerabaja, potwierdził to przyrzeczenie, była jednak niewzruszoną, milczała uporczywie, albo odpowiadała, że skoro potępiono ją na proste oskarżenie, nie może spodziewać się łaski po zupełném wyznaniu. Wyznać muszę, że twierdzenie to wydało mi się bardzo logiczném

Oznaczono dzień wykonania wyroku, ponieważ zajmowałem się zawsze badaniem natury ludzkiéj, postanowiłem być przytomnym téj straszliwéj karze, pomimo wstrętu jakiego ku temu doznawałem.

Udałem się więc na ten sam plac broni, gdzie kilka dni temu byłem przytomny tak wspaniałym igrzyskom. Przybyłem wcześnie pomimo że mój służący indyjski, późniéj jak zwykle obudził mnie dnia tego, aby wraz ze mną nie być przytomnym smaganiu winowajców; zdaje się że widok ten zbyt świéże a przykre budził w nim wspomnienia. Uwagę moją zwrócił najpiérw wielki szałas, gdzie byli zebrani członkowie dwóch trybunałów holenderskiego i krajowego. Ci ostatni przybrani w zawoje i sutanny, jak księża arabscy, różnili się tylko od nich ciemnym kolorem sukni, pierwsi zaś odziani byli czarno. Postawiono szubienicę o pięćdziesiąt kroków naprzeciw; daléj rodzaj słupa czyli pręgierza do smagania. Cała baterja artylerji z zapalonemi lontami stała na lewo, z drugiéj strony mnóstwo wojska obu narodów. Nie dziwiłem się tym ostrożnościom, patrząc na liczne zgromadzenie krajowców, którzy w ponurém milczeniu przerywaném tylko niekiedy głuchym szmerem oczekiwali spełnienia wyroku, a dzikie ich twarze i groźne wejrzenia, okazywały źle tłumiony gniew i zawiść przeciwko prześladowcom, których ciężkie jarzmo, zwykle tak cierpliwie znosili.

Niedługo oczekiwaliśmy przybycia skazanych, poprzedzeni byli przez oddział wojska krajowego i europejskiego w jednakowéj liczbie. Ostatnie szczególniéj bacznie postrzegało każde poruszenie zgromadzonego ludu. Daléj szło dwunastu księży muzułmańskich, w długich białych ubiorach, za niémi dopiéro skazani na śmierć, z odkrytemi twarzami, ubrani biało, uwieńczeni kwiatami, z bukietami przy rękach i wieńcami na szyi. Otoczeni byli również halabardzistami i kawalerzystami. Z przyjemnością zauważyłem, że pomiędzy europejczykami, nie było ani jednéj kobiéty. Stawiono winowajców naprzeciwko szubienicy, na jéj widok mężczyzna zemdlał w ręku oprawców, kobiéta zaś uśmiechała się tylko do zgromadzenia. Żołnierze jawańscy, pełniący obowiązki żandarmów, oddali ich w ręce kata; ubrani byli dziwacznie, na głowie mieli zawoje indyjskie, mundur zaś europejski, żółty i niebieski, robiony widocznie w Holandji, bo za obszerny dla nich i niezgrabny. Kat był to ogromny indjanin, ubrany cały czerwono. W końcu przyprowadzono drugich dwóch winowajców. Prokurator królewski przeczytał wyrok, i rozpoczęło się smagania ich i kucie w żelaza na szyję. Znosili okropne męczarnie z bohaterską wytrwałością. Kobiéta uśmiechała się ciągle. Wkrótce ciała ich przemieniły się w jedną tylko ranę, a oni nie zmienili nawet twarzy. Mówiono mi, że zwykle po takiéj chłoście nieszczęśliwy przykłada świéży pieprz na rany i tym sposobem zapobiega gangrenie, pobudzając krwi krążenie, jest to fakt którego nie miałem sposobności sprawdzić własnemi oczami. Przyszła koléj na skazanych na śmierć, najprzód prowadzono mężczyznę pod szubienicę. Nieszczęśliwy był prawie całkiem nieprzytomny, w jednéj chwili wykonano wyrok Co do kobiéty, która dotąd nie traciła odwagi, kiedy przyprowadzono ją do drabiny, zaczęła bronić się gwałtownie i prawie wyrwała się z rąk oprawców. Nie będę opisywać dłużéj téj strasznéj sceny, ciała zostały wystawione na widok publiczny przez sześć godzin. Wyszedłem z sercem ściśnioném z tego miejsca katuszy tak sprzeciwiającéj się prawu ludzkości, a jeżeli gdzie, to tu, mniéj jeszcze potrzebnéj jak w Europie.

O ile poznałem charakter indjan, nie wątpię że samo tylko pozbawienie ich wolności, tak zawsze im drogiéj, byłoby cięższą i skuteczną dla nich karą.

Ale odwróćmy oczy od tych smutnych obrazów, wyjdźmy z miasta, gdzie częściéj spotykamy się z występkiem i równie występną zań karą, powróćmy na łono wspaniałéj natury, która zawsze zachwyca i pociesza. Udajmy się brzegiem téj pięknéj rzeki złotéj *Kahli mass*, która przepływa Söerabaja, przebiega góry i doliny, podmywa konary olbrzymich palm i otacza się ich zielonością. Tu zgromadzają się w wielkiéj liczbie długie statki, o których pięknéj budowie wyżéj wspominałem. Muzułmanie odprawiają tu swoje *ablucje*, czyli kąpiele prawem przepisane. Okolice Söerabaji urocze są w téj stronie; gdzie niegdzie nawet widzieć można pomniki starożytne, któreby zachwyciły nie jednego artystę i archeologa Przed samym wyjazdem moim ztamtąd, statek holenderski, który przepływał Ocean Spokojny około nowéj Gwinei, przywiózł kilku ludzi dzi-

kich, znalazłszy ich na morzu w małéj łódce. Wiatr przeciwny zagnał ich na środek morza, bez żywności i zapasów, błąkali się przez czas długi cierpiąc głód i nędzę, która zmusiła ich jeść ciała towarzyszy swoich. Pozostało już tylko z nich troje: kobiéta i dwóch mężczyzn w chwili gdy ich znaleziono. Mówili obcym językiem, którego żaden z oficerów okrętowych ani krajowców, nie mógł zrozumieć, poruzumiewano się więc z niemi tylko na migi. Twierdzono późniéj, że należeli do pokolenia *Papons*; rysy ich były szpetne i dzikie, uszy długie spadające aż na ramiona, czyniły ich podobnemi do wyżłów; sądzę, że ten rodzaj wdzięku nadali sobie sami niewiadomym mi sposobem, gdyż ubiegali się troskliwie o ozdobę tych olbrzymich uszów w drogie kamienie i świecidła. Kiedy opuszczałem Söerabają nauczyli się już wymawiać kilka wyrazów malajskich.

Przed wyjazdem, chciałem zakupić pewną ilość tunik, które tak pięknie tam farbują i w tym zamiarze zwiedziłem fabryki i poznałem się z rodzinami w nich zamieszkałemi. Byłem zdziwiony wielką liczbą dzieci chorych, które tam napotkałem i niedbałością rodziców w niesieniu im pomocy. Widziałem małego czteroletniego chłopczyka wychudłego od okropnéj djarji, którą oddawna cierpiał, a któremu nie dawano nawet wody ryżowéj, zwykłego krajowego lékarstwa, ale dozwalano jeść niedojrzałe owoce i popijać zimną wodą. Oburzyła mnie taka nieroztropność i nieczułość; odpowiedziano na moje przełożenia, że „choremu sprzeciwiać się nie trzeba“. Być może że przyczyną tego jest doskonała obojętność względem życia i śmierci, która charakteryzuje wszystkie ludy muzułmańskie.

Zamiarem moim było powracać z Söerabai do Batawji lądem; ale okoliczności nie tyczące się tego opowiadania, zmusiły mnie płynąć znowu morzem, co pozbawiło mnie widzenia wielu ciekawości na dworze cesarza jawańskiego i poznania rodziny tego monarchy; a wiarogodne osoby opowiadały mi niektóre szczegóły zwyczajów i etykiety ich dworu. Zapewniano mnie np. że żaden z podróżnych, choćby największego znaczenia, nie może się przedstawić książętom jak tylko pełzając na rękach i nogach; kiedy ci wychodzą pieszo z pałacu, karły biegną przed niemi, rozwijając przepyszne kobierce, ochraniające delikatne ich nogi a lud zbiegły przesadza się w ukłonach i uniżeniu. Za największą łaskę uważają sobie, jeżeli kto otrzyma szczyptę *siry*. Dar ten drogocenny chowa się w najpiękniejszym kufrze na wieczną pamiątkę i przekazuje dzieciom w spuściźnie jak u nas order albo tabakierka, a zaszczyt którego obdarowany dostąpił, jest długo przedmiotem rozmów i zazdrości. Niektóre części wyspy, przebywałem pocztą, ale trudno wyobrazić sobie utrudzenia jakiego się doznaje przez jazdę nadzwyczaj szybką, oraz krzyki indjan lecących koło koni i pobudzających ich giestem i głosem. Woźnice rzadko używają bicza, ale kierują zaprzęgiem dosyć zręcznie i umieją poskramiać żywość koni krajowych.

Z Batawji do Boghory przebyliśmy mil dziesięć w ośmiu godzinach, co jest rzeczą nadzwyczajną, gdyż drogi w tym kraju są niegodziwe, a rząd holenderski nic prawie nie czyni dla ułatwienia komunikacji, zapewne mając ku temu jakieś skryte powody.

Za przybyciem mojém do hotelu Bellevue, byłem gościnnie przyjęty przez właściciela pana Grenier, który przeznaczył mi na mieszkanie prześliczny pawilon zwany *Villa Amore*, z którego okien czarowny widok na rzekę, łańcuch gór i kokosowe gaje, zachwycił mię nie pomału. Nigdzie nie zdarzyło mi się spotkać tak pieknego krajobrazu i żadne pióro opisać go nie jest w stanie. Zwiedziwszy zakład pana Grenier, wyszedłem obejrzyć miasto; mniejsze jest daleko jak Söerabaja i Batawja, odznacza się szczególną budową na wzgórkach, które dotykają do wielkiego wulkanu, prawie już przygasłego. Oprócz pięknego pałacu gubernatora, nie ma tu żadnego pomnika, ale pałac ten posiada prześliczny ogród botaniczny w którym drzewa bananowe, rozkładają ogromne gałęzie swoje i tworzą cudowne aleje; w pniu jednego z tych drzew wyrobiono otwór przez który sześć powozów minąć się może wygodnie. Jest tu także podobno najpiękniejszy w świecie zbiór drzew palmowych i innych rzadkich roślin.

Od przybycia mego do Boghory ciągle dręczony byłem chęcią zwiedzenia Salaku, góry pokrytéj zielonością, którą z okien moich widziałem, i ujrzenia z bliska tych pięknych cienistych wzgórków i dolin, które tworzą widok tak uroczy.

Pan Grenier któremu zwierzyłem się z mym zamiarem, znalazł mi towarzysza podróży pana Abels, dawnego urzędnika, od wielu lat tu zamieszkałego, zatém znającego się dokładnie na podróżach tego rodzaju i potrzebnych do nich przyborach, jako to: powozach, żywności, koniach wierzchowych i przewodnikach. Wyjechaliśmy w poniedziałek o piątéj godzinie rano i piérwszą część naszéj drogi odbyliśmy powozem bez żadnego wypadku, ale gdy przybyliśmy w miejsce gdzie miały czekać nasze konie wierzchowe, nie zastaliśmy ich wcale. Pan Abels zmieszany, radził powracać do domu, ja zaś wolałem iść piechotą aż do drugiego popasu, nie zważając na czynione mi uwagi, że niebezpieczną jest rzeczą przechadzać się pieszo po lasach jawańskich i że gdyby i tu chybiły nasze konie, bylibyśmy już bardzo oddaleni od celu podróży i od punktu do którego musielibyśmy powracać. Zdanie moje przeważyło i udaliśmy się w dalszą drogę, uzbrojeni tylko w kije, których dostarczyli nam krajowcy. Co do mnie, posiadałem jeszcze w dodatku starą brzytwę, któréj używałem zwykle do temperowania ołówków. Rzeczy

nasze nieśli dwaj przewodnicy zbrojni w pałasze indyjskie. Przebywaliśmy cudowne lasy bambusowe, gdzie ziemia usłana mchem i kamieniami, przypominała równiny Ceweńskie, lecz urodzajność gruntu przywodziła prędko na pamięć, że byliśmy na drugim końcu świata.

Po trzygodzinnéj drodze przybywamy na drugi popas, gdzie znajdujemy zamówionego chińczyka z końmi, który rozpaczał, że niezrozumiał polecenia i naraził nas na kilkomilową podróż pieszo. Podał nam teraz dwie prześliczne klacze ze źrebiętami, które pomnożyły nasz orszak.

Karawana nasza puściła się więc w dalszą drogę. Chińczyk jechał na przodzie, daléj przewodnicy, pan Abels i ja, źrebięta tuż biegły koło nas. Jechaliśmy wolno, jeden za drugim obyczajem indyjskim i przebyliśmy tak błotnisty strumień, w którym najlepsze konie europejskie byłyby pogrzęzły. Późniéj nieco wdarliśmy się na tak stromą górę, że trzeba się było dobrze trzymać na siodle, żeby nie spaść z koni niezmiernie zmęczonych podróżą bez odpoczynku. Piękność widoków byłaby mnie tam zatrzymała dłużéj, ale nie można było tracić czasu, bo droga stawała się coraz przykrzejsża pomiędzy skałami, gdzie z trudnością przejechać było można. W niektórych miejscach potrzeba było spuszczać się z wysoka w sposób bardzo niebezpieczny, gdyż jedno potknięcie konia narażało na śmierć niechybną. Przebyliśmy jeszcze wpław rzekę, a po wielu usiłowaniach, dostaliśmy się na równinę, gdzie była plantacja muszkatelowych owoców.

Muszkatel podobny jest do moreli. Łupina jego otwiera się w chwili dojrzałości i daje widzieć orzech, okręcony jakby czerwonemi nitkami. Drzewa formy piramidalnéj, wysokie są jak nasze jabłonie, koloru ciemno-zielonego, uginają się pod owocami. Zbiór który mamy przed oczami, jest tak obfity że stanowi prawie majątek, bo jeden orzech sprzedaje się blisko cztéry centymy. Przejechawszy koło téj bogatéj plantacji, jesteśmy na prost wysokiego muru zieloności, do którego zmierza nasz chińczyk.

Co czyni nasz przewodnik? zapytałem pana Abels.

— Jedzie swoją drogą, odpowiedział.

„Jakto? to nasza droga? ten wał, ten mur? Wystawcie sobie jakby rodzaj olbrzymiego zboża, grubego jak palec i wysokiego na kilka łokci splątanego rozmaitemi wijącemi roślinami. Takie przejście nie ustraszyło bynajmniej naszego przewodnika, uzbroił się tylko w swój pałasz i machał nim na prawo i na lewo torując sobie drogę. Jeden z ludzi naszych szedł za nim czyniąc toż samo. Wjechaliśmy w głąb, nie widzimy już ani nieba, ani ziemi, jesteśmy w ostréj gęstwinie najeżonéj kolcami które kaleczą nam łokcie i kolana; ręce przerzynają nam liście ostrę jak brzytwy. Niepojmuję jak indjanie nie zabłądzą w tym lesie; czasami napotykamy znaczne wyłomy, które mnie zastanowiają.

— Czy nie ma tu czasem tygrysów, w téj gęstwinie? zapytałem mego towarzysza.

Pan Abels zawołał jednego z malajczyków, i powtórzył to zapytanie.

Indjanin zbladł, upewnił że nie i prosił pana Abels żeby o tém nie wspominał.

Po jego odejściu, ten ostatni odwrócił się do mnie i rzekł:

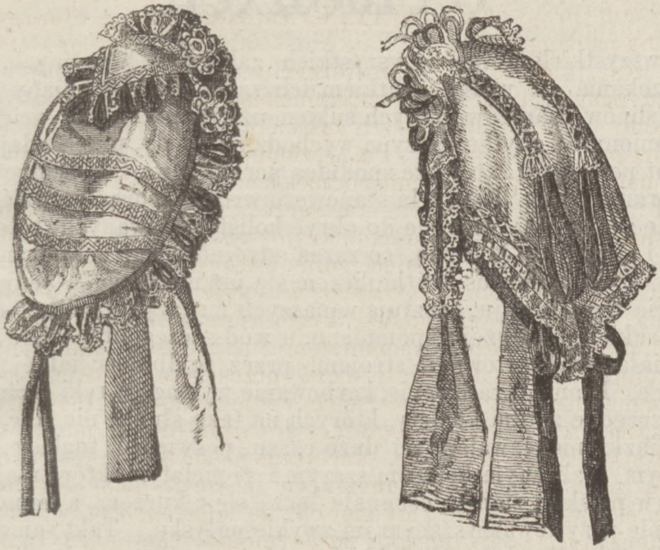
— Chciałem, żebyś pan sam osądził, jak dalece krajowcy lękają się tygrysów, nigdy o nich nie mówią, jak tylko w trzeciéj osobie, a słowo *tygrys*, nigdy prawie z ust ich nie wyjdzie. Tymczasem gęstwina stawała się coraz ciemniejsza z największą trudnością przedzieraliśmy się przez mnóstwo wijących roślin ściśle z sobą spojonych, na których widzieliśmy kołyszące się węże bystro na nas spoglądające. Nareszcie po dwugodzinnéj drodze, wydostaliśmy się na czyste pole, gdzie zatrzymaliśmy się chwilę znużeni i pokaleczeni równie jak i nasze konie. Niedługo jednak mogliśmy spoczywać, bo czas był drogi, a dzień miał się ku schyłkowi.

Góra od téj strony którą jechaliśmy, była zupełnie nieprzystępną, trzeba było obrócić się na północ, trzy części drogi, któreśmy przebyli, były jeszcze najłatwiejsze, pozostał najtrudniejszy do przejścia sam wierzchołek góry.

Odmieniwszy konie i wyprawiwszy naprzód naszego chińczyka, udaliśmy się w dalszą drogę i po godzinnéj jeździe dostaliśmy się prawie do otworu wulkanu. Byliśmy w miejscu, które nazwać można lasem dziewiczym, bo mało kto dostał się jeszcze na szczyt ten. Są tam ogromne drzewa, uszkodzone starością i wybuchami wulkanu, leżą stosami, przez które znowu przedzierać się trzeba. Cisza tych lasów indyjskich, przerywana jest tylko śpiewem ptaków, któremu wtoruje harmonijne echo, lub żab skrzeczenie. Powietrze było gorące, a my wycieńczeni pragnieniem i utrudzeni, podziwialiśmy jednak cudne widoki na cieśninę morską i statki płynące ku Batawji, podobne do czarnych ptaków na niebieskiéj wód wstędze. Przypatrzywszy się temu widokowi, chciałem zapalić cygaro, ale wilgoć miejsca zepsuła nasze zapałki i hubkę. Jeden z malajczyków widząc moje strapienie, pobiegł prędko do lasu i po chwili przyniósł ztamtąd kawał suchego bambusowego drzewa. Użył go do zrobienia ognia i w kilka minut nasze cygara były zapalone. Tymczasem chmury gęste zbierały się na horyzoncie, deszcz z rana drobny, późniéj ulewny zaczął padać, trzeba było dać pokój dalszemu zwiedzaniu Salaku, długo nie mogliśmy trafić do miejsca gdzie zostawiliśmy nasze konie, grunt przemoczony stał się śliskim jak lód, upadaliśmy co chwila; nasze suknie, kapelusze i obuwia były podarte i najeżone kolkami, jednem słowem zwątpiliśmy czy powrócimy żywi do Boghory.

(D. c. n.)

Dodatek do Zeszytu XV. Kółka Domowego.



Czepeczki negliżowe ubrane kolorowemi wstążkami.

Objaśnienie tablicy haftów i kroju.

Nr. 1. Przód kaftaniczka z baskiną. Kaftanik ten może być z czarnéj jedwabnéj materji, kaszmiru, lub korciku. Deseń u brzegów wyszywa się sznureczkiem lub jedwabiem ściegiem łańcuszkowym.

Nr. 2. Plecy.

Nr. 3. Baskina.

Nr. 4, 5. Rękaw.

Nr. 6, 7. Kołnierzyk i mankiet, haft atłaskiem.

Nr, 8, 9. Kołnierzyk i mankiet ściegiem długim przeciąganym.

Nr. 10, 11. Szlaki.

Nr. 12 i reszta téj strony tablicy cyfry, tarcze i imiona.

Nr. 13. Szlak do firanek lub obrusów kościelnych, aplikacja na tiulu lub téż na siatce.

Nr. 14. Szlak do wyszycia jedwabiem u dołu gładkiéj wełnianéj sukni. Gałązki ściegiem długim przeciąganym, kwiatki atłaskiem.

Nr. 15, 16. Figura sukni wyciętéj czworograniasto (carré) i sukni z paltocikiem.

Nr. 17. Ubiór do konnéj jazdy; ogon od sukni podpięty elastycznemi tasiemkami przyczepionemi z boku pasa.

Nr. 18, 19. Figury sukienek dziecinnych.

Nr. 20. Bluzka muślinowa otwarta z przodu do szmizetki.

Nr. 21. Kołnierzyk i mankiet z ptaszkami haftowanemi w rogach.

Nr. 22. Deseń tasiemeczką na końce do szarfy ściegiem przeciąganym kolorowym jedwabiem.

Nr. 24. Motyl do wyszycia na rogi kołnierzyka i mankietu lub krawatki. Reszta cyfry.

II.

O UBIORACH.

Ze wszystkich stolic, ze wszystkich zakładów leczebnych, dochodzą nas wyrzekania na upały; skutkiem ich są niejakie odmiany w ubiorze. Dużo muślinów, bareżów, białych sukien używają. Paletot wcięty, jako upowszechniony do zbytku zaczyna wychodzić z mody, przekładają nad niego paletot powiewny, który ze spodnicą perkalinową lub dymkową stanowi ładne ubranie ranne. Kapturki stanowczo wróciły i coraz bardziéj upowszechniać się zaczynają; dają się do okryć kolistych zwanych rotondami lub talmami i garnirują koronką, co zaraz strojność całego ubrania podnosi. Rotonda czyli ów burnus krótki niczém się już nie oszywa. Jedwabne czarne okrycia tego rodzaju, kosztują w naszych magazynach od 25 do 30 rubli. Białych sukien jak wyżéj wspomniano, u wód szczególniéj wiele noszą, lecz suknia biała jest kosztownym strojem, przez tę dbałość jakiéj nieustannie potrzebuje. Pranie, prasowanie, karbowanie wymagają ręki umiejętnéj służącéj, oszczędne zatém kobiéty, których na taką służbę nie stać, a ważniejsze obowiązki niepozwalają im dużo czasu poświęcać toalecie, pozostają wierne tym rozlicznym kolorom szarym i popielatym, które mając w sobie coś z barw piasku i ziemi, doskonale łączą się z kurzem, a mimo to wyglądają ładnie przy towarzyszącym im zwykle połysku. Tak samo rzecz się ma i z okrywkami. Jasne do lekkich sukien prześliczne. ale mieć tylko jeden burnus biały lub błękitny i chodzić w nim od rana do wieczora niepodobna! lepiéj więc sprawić czarny jedwabny. Chustki koronkowe nigdy téż z mody nie wychodzą. Garnirunki zbyt sute nie mają już powodzenia. Dają się jeszcze plisy lub falbanki zwłaszcza wtedy, kiedy suknia jest o dwóch spódnicach, więc dolna mająca uchodzić za podspodnią, (odmienne bowiem już nie są używane przez wielkie elegantki) jest wystrojona, a zwierzchnia tylko uniesiona w draperje, stosownego koloru paskami. Lecz największą w wystroju sukien nowością są grube sznury, zastosowane do koloru materji. Te nie tylko że otaczają dół spodnicy, ale jeszcze naznaczają jaki deseń lub pasy podwójne, nie dochodzące do dołu i zakończone frendzelkami. Znajdują się równie galoniki w perskie desenie, któremi się naszywają wszystkie szwy ścinanych w kliny brytów, tudzież brzeg całéj spodnicy. Widziałyśmy taką suknię z popielatéj mory, a w całowéj szérokości galoniku na tle czarném. wszystkie kolory jaskrawe układały się w tyftykowe desenie. Druga suknia błękitna, przygotowana dla młodéj mężatki, miała rękawy i stanik przystrojony białemi koronkami zwanemi Cluny. Nie wiem zkąd to miejsce, na którém dziś wśród Paryża na lewym brzegu Sekwany, są malownicze zwaliska klasztoru, co nastąpił po termach cesarzów rzymskich, nie wiem dlaczego, mówię, ochrzczono od jego nazwy wyrób z grubéj nici o fantastycznych, wydatnych deseniach, który zapewne nie będzie ciągle jednakiém cieszył się powodzeniem. W Cluny znajduje się muzeum, gdzie stokroć piękniejsze stare koronki pokazują pomiędzy innémi przedmiotami z dawnych czasów. Muszą być ich fabryczném naśladowaniem te, które dzisiaj klunjiskich noszą nazwę.

Wracając się do sukien powiemy jeszcze, że staniki i kaftaniczki naszywają się z przodu nakształt huzarskich mundurów, sznurami, w które niekiedy bardzo misternie słomka wplecioną bywa. Falbany wracają, do muślinowych kolorowych sukien, daje się jedna széroka na pół łokcia lub więcéj z białym muślinowym nagłówkiem, co bardzo suknię stroi. Do tego może być włożona z tegóż materjału szalikowa mantylka podobnąż obszyta falbaną. Lecz co wraca z dawnych i bardzo przestarzałych rzeczy, to materje mienione. Właściciele magazynów naszych już zaczęli sprowadzać

takowe, a jeszcze więcéj obiecują. Przyszło więc do tego, że jeżeli u kogo jaka zastarzała z dawnych czasów suknia *gorge de pigeon* lub inna tego rodzaju leżała, może ją wyciągnąć i na modną przerobić. Wprawdzie że w ubiorach dzieje się to nie piérwszy raz i nie ostatni, trudno bowiem tak w materjach jak w kroju o koncepta wiecznie nowe. Oglądałyśmy u pana Włodkowskiego materje wełniane *chiné* mienione, wąskie wprawdzie, ale po pół rubla łokieć.

Z pomiędzy ubrań na głowę zacytować możemy, jako skromne a gustowne: 1) płaski warkocz spleciony z cztérech pąsowych aksamitek, kładący się nad czoło od jednego do drugiego ucha, miał z obu stron przyczepione trzy sznury lekkich a dużych jak małe orzechy, lśniących pereł czarnych, których długość była stopniowa tak, że piérwszy leżał po nad włosami, ubierającemi tył głowy, a ostatni po za uszami aż na kark spadał. 2) Różowe ubranie składające się z kilku gałązek drobnych kwiatków rozpierzchających się po nad czołemi pukielków z wąskiéj wstążki ułożonych w wieniec a zakończonych pojedynczemi wstążkami, które się na karku łącząc, tworzyły małą z długiemi końcami kokardę. Oprócz końców wstążki, dwa końce równie długie wąziutkiéj czarnéj aksamitki wisiały. Na każdym pukielku wstążki umieszczone było kryształowe świecidełko. 3) Ubranie z niebieskiego aksamitu składało się z wielkiéj ilości ruloników, mających opasywać głowę, naszywanych zaś rosą kryształową.

Kapelusze okrągłe z przyczyny gorąca wyłącznie teraz panują. W miastach niemieckich trudno nawet na ulicy lub na przechadzce innego zobaczyć. We Francji do wód i konnéj jazdy robią trójgraniaste kapelusiki wcale fantastycznie wyglądające. Lecz kształt kapeluszy z dużą główką, w którą włosy się chowają, zwany *empire* lub nieco zmodyfikowany pod nazwą *demi empire*, coraz bardziéj wkracza w dziedzinę mody i zdaje się, że na jesieni rozwielmoży się w kobiecym stroju na dobre. Nuż więc każda z nas zacznie po trochu znajdować, że fanszonikowe kapelusze, były nieznośne, niepraktyczne, że co gorsza są śmieszne, teraz zaś dopiéro ludzie, czyli raczéj kobiéty (bo tej nazwy zbiorowéj używać kiedykolwiek dla nas nie ma zwyczaju) zrozumieli jak należy pięknie i wygodnie głowę okrywać. Taką to zwykle kolej uznania i poniżenia przechodzą wszystkie wymysły mody.

Do magazynu pani Cronier nadszedł znaczny, bo za kilkanaście tysięcy złotych, transport kwiatów. Są to wszystko wyroby pełne lekkości i wdzięku z lepszych paryskich fabryk. Biorąc tak znaczną ilość p. Cronier dostała je z rabatem, który jej pozwala sprzedawać je nawzajem niezbyt drogo. Ma zamiar odstępować je także w znaczniejszych ilościach utrzymującym magazyny mód; zarówno ma do zbycia wielki dobór kapeluszy słomkowych, wstążek w dobrych gatunkach, które sprzedaje na łokcie lub na sztuki, oraz piór w cenie od 8 do 30 zł., ptaków rajskich, kolibrów i t. p. Oglądałyśmy u niéj czepeczki od 20 do 30 zł., oraz ubrania na głowę nieprzechodzące 40 zł. w cenie.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Zatrudnienia ogrodnicze w miesiącu Sierpniu.

Inspekta w czerwcu uprzątnione, jeśli zaraz po zbiorze ziemię spulchniono i z chwastu oczyszczono, obecnie w części obsiać kalafiorami. Roślinki tego zasiewu we Wrześniu przerywają się, aby pozostałe miały po trzy cale ziemi zimując na inspekcie. W Styczniu i Lutym następnego ro–

ku dorosłe roślinki w świéże inspekta, w należytéj odległości przenoszą się, lecz niektóre z największych i najpiękniejszych pozostawia się na miejscu w przyzwoitych odstępach, bądź dlatego iż wydają najwcześniejsze kwiaty, bądź dla dochowania się nasienia, na co wybiéra się najlepsze. Pomiędzy roślinkami pozostałemi, ziemi dać trochę świéżego gnoju. W maju zasiew ten wyda jadalne kwiaty. Na tych uprzątnionych inspektach można jeszcze raz zasiać fasolę rychłą, nie przykrywając jéj oknami; te dopiéro wtedy powstawiać, gdy we Wrześniu nastają przymrozki. Zbiór może być w Październiku.

W ostatnim tygodniu bieżącego miesiąca, uskutecznia się ostatni zasiew szpinaku, który właściwie przeznaczony jest na piérwszą potrzebę wiosenną.

Wszystko grochowisko i bobowisko w tym miesiącu uprzątnione, natychmiast przekopać a po namierzwieniu, w piérwszym tygodniu obsiać rzepą jesienną, sałatą zimową i rapontyką, nieugnojone zaś zasadzić kapustą zieloną.

W drugiéj połowie bieżącego miesiąca sałatę sieje się na dobrze uprawione grzędy do hodowania sałaty zimowéj, a dla panującéj obecnie suszy i upałów, lekko przygrabia i grzędę w stanie wilgotnym utrzymuje aż do wschodzenia nasienia.

Z pomiędzy gatunków kapusty, w niniejszym miesiącu na grzędach uprzątnionych, ale jeszcze mierzwę zawierających w sobie, sieje się: kapustę głowiastą białą i czerwoną włoską.

Z pomiędzy ziół kuchennych trwałe jak np. macierzankę (tymianek ogrod.) szałwję itp. tylko aż do końca bieżącego miesiąca zrzynać, aby jeszcze przed nadejściem zimy, młode odrastać mogły listki, odtąd aż do Września dzieleniem starych krzów rozmnażać je można, jeśli tego nieuczyniono zeszłéj wiosny; jeszcze kilka uprzątnionych grzęd obsiać można trybulką, rzeżuchą ogrodową i gorczycą, aby w późnéj jesieni mieć je na zupy z ziół, sałatę i jarzynę.

Letnie cebule, które w kół czyli w nasienie rosły, przezimować mogą w gruncie; zwykle wydały koło siebie w ziemi po dwie lub więcéj cebulek, które w czasie pogodnym już w Marcu dostają zielonej naci, a mogą być użyte jako cebule zimowe. Jeśliby w ogrodzie zabrakło cebul zimowych, w miesiącu niniejszym nowy można uskutecznić zasiew cebul letnich, które przezimowawszy w gruucie, na wiosnę zastępować będą cebule zimowe. Na szarlotkach nać także zżółkła i zawiędniała, przeto wybrać je, a bardzo liczny przychowek ich główkowy rozdzieli się i rozgatunkuje. Większe główki bierze się do kuchni, a mniejsze albo zaraz przesadza się na inną grzędę na 2 cale głęboko i w 6 calowych odstępach, lub przechowuje się na miejscu suchém i nie zimném aż do rozsadzenia na wiosnę. Pory w Czerwcu przesadzone obecnie okopać, aby łodygi doskonalszemi się stały. Szczypiorek pod koniec bieżącego miesiąca po raz ostatni zrzyna się, a stare korzonki dzieleniem rozmnażają się. Czosnek wybiera się, skoro nać żółknie i więdnie, bo to znakiem iż dojrzały.

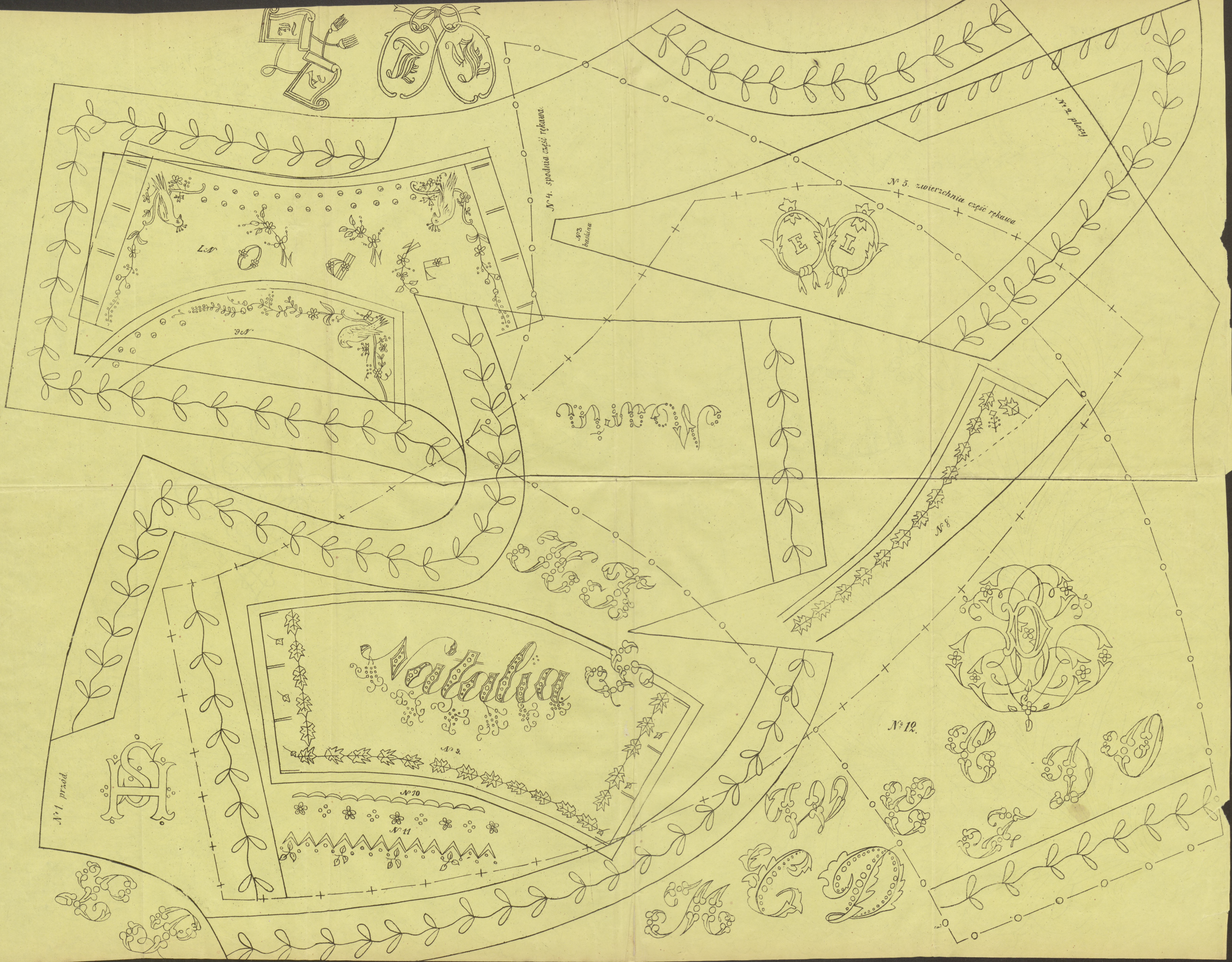
Melon.

Na dwa funty melona nie przejrzałego, półtora funta cukru i kwarta octu. W téj kwarcie octu przegotowany cukier, cynamon i gwoździki nalewa się na melona gorąco; nazajutrz zlewa się syrop wyszumowywa i znów gorąco się nalewa, na trzeci dzień znów powtarza się toż samo i w wyszumowanym dopiero syropie melon się gotuje; gdyby melon był miękki należy go wyjąć poukładać w słoje i dopiéro wysadzonym dostatecznie syropem nalać.

Sprostowanie pomyłki: W dodatku do XIV poszytu Kółka Domowego, w przepisie robienia bryndzy, wydrukowano mylnie „liściami *olszowemi*“ zamiast *chrzanowemi*.

KÓŁKO DOMOWE
Miesiąc Sierpień 1865 r.




N°4. spodnia część rękawa
N°5. zwierzchnia część rękawa
N°2 plecy
N°3 baskina
N°7
N°6
N°8
N°9
N°10
N°11
N°12
N°1 przód
Natalia